№ 34 Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"

WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg.)

W części trzeciej, wszystko to co narysował Potocki, pod jego piórem nabiera życia. Czy to dzielny Sajdaczny w sporze z samozwańcem i intrygantem Brodawką, czy Fiekiety ukrywający się w lasach, czy też ów chciwy zwycięztwa Murza, wszystko to jest widoczne i niezmiernie naturalne. Nawet sam barbarzyński Osman, pragnący pomścić się na kozakach, których część przyparł w ciasnym wąwozie i wymordował, pomimo szemrania własnych żołnierzy, nosi te cechy dzikości i tyraństwa, których tak się obawiał świat cały. To jego strzelanie do buntujących się żołnierzy, których kazał obnażyć i za cel sobie wystawić, trafnie jest przytoczone dla uwidocznienia całej postaci.

Słowem w całej części niebrak obrazowości: czy to przy rozpinaniu mostu na Dniestrze, czy przy okopywaniu obozów, znać wszędzie potężny talent, także śliczne, doniosłe i dramatyczne ustępy, pełne nastroju poetyckiego i wzniosłego ducha. Ustęp np. w którym przedstawia Potocki wyczekującego, pełnego ducha i żądnego walki żołnierza, tak brzmi:

Rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesława trumny,
Co żelazne po końcach ojczystych kolumny
Stawiali...
Owo wszyscy z radością wyglądają świtu,
Czekając nadętego pogaństwa przybytu.

Kończąc niejako całą tę część, nie można pominąć prawdziwie pięknego ustępu o postępie i rozumie (str. 134 i 135.) Oto co Potocki pisze:

Rozum mistrzem wszech rzeczy, czas mistrzem rozumu,
On mostu, on nas łodzi, on nauczył promu.
Czasem człowiek lwy króci i niedźwiedzie uczy,
Czasem słonie w wojenne beloardy juczy,
Czas — odmieniwszy w pysku przyrodzenie ptasze,
Dał sowom i papugom gwarzyć słowa nasze.
Czas wiatry chełzna, które zawarte w chomoncie,
Stawią człeka na drugim świata horyzoncie.
Gdy odąwszy płócienne na gałęzie buje —
Wszystkie ziemie i wyspy i morza osnuje; —
Dział lać, prochy robić, grzmieć i ognie błyskać,
Piorun z daleka w miejsce umyślone ciskać,
Granatów i misternych rac, które do góry
Wzbiwszy się, tworzą z ognia rozliczne figury,
Czas nauczył murować, czas murów ruiny,
Przez potężne petardy i podziemne miny,
Cyngla ruszy, aż wszystko, co obaczą oczy,
Tak zwierza, jako ptaka zmyślny strzelec toczy.
Czasem człek doszedł nieba i policzył gwiazdy,
Wie która w miejscu wryta, która ma pojazdy,
. . . .
Druk, papier i litery, któremi wykreśli
Co mówi, co ma w sercu i co człowiek myśli,
I mogą się rozmawiać, nieruszywszy usty,
Mogą wiedzieć z daleka ludzkie inkausty.
Wszystkiemu czas przyczyną.
O Boże dobroci,
Tedyż człowiek żywioły i naturę króci,
A przez te wszystkie wieki na grzech i złe żydło
Znaleźć mu się dotychczas nie dało wędzidło.
Zna zwierzę, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady,
Wie zkąd grom, piorun, zkąd deszcz, zkąd spadają [grady,
Krótce mówiąc, na ziemi zna się i na niebie,
Wszędzie mądry, doma głupi, że sam nie zna siebie.

Opis ten odznacza się bardzo piękną myślą i zwraca baczne oko na stan oświaty i wynalazków ówczesnych, wykazując, jakie stanowisko zajmował autor „Wojny Chocimskiej", i że posiadał duże wiadomości, był człowiekiem oczytanym, a nawet jak naówczas wysoko wykształconym.

Ale powróćmy do obozu.

Rozgniewany wojskami kozaczemi Osman pragnął walki, pragnął pomsty za swoją niesławę i dlatego wkrótce podciągnął pod obóz polski i na najbliższych wzgórzach rozłożył swoje wojska.

Była tego ilość niezliczona. Tem straszniejsza, że cera ich różne przybierała barwy. Żądny zwycięztwa młody sułtan czeka potyczki, obiecując sowitą nagrodę temu, który pierwszy przyniesie wieść o wygranej. Sam zaś, przekonany o niej, ślubuje, że dopiero po zwycięztwie Polaków będzie jadł śniadanie.

Lecz darmo; pierwszy dzień niezbyt szczęśliwym okazał się dla Turków i Osman pościł do wieczora, aż wreszcie zgłodniały musiał złamać dane Allachowi słowo.

Nadciągnięcie królewicza do obozu przyczyniło się do podniesienia ducha w żołnierzu polskim.

To też w obozie naszym inna panuje otucha, chociaż przybyły królewicz rozchorował się nadobre.

Chodkiewicz, otrzymawszy posiłki, nie chce pozostać już dłużej w obozie, a zwoławszy radę wojenną, proponuje jej, aby wyjść i ścigać nieprzyjaciela.

Jednakże Sobieski Jakób sprzeciwia się stanowczo temu.

Rzeczywiście Turcy nie poprzestali na pierwszej potyczce i ponawiali ją wielokrotnie a zawsze z podobnym, jak pierwszym razem skutkiem.

Tak nieład wojenny trwa dalej.

Sułtan zły zwołuje radę i przez usta Kizlaragi

wypowiada wodzom perorę, jak również zaznacza gniew swój.

Szczególniej rozgniewany jest na kozaków; pragnie zemścić się nad nimi, a nawet obiecuje nagrodę za każdą głowę kozaczą.

Turcy wycinają ludność i znoszą głowy sułtanowi, ale nie kozacze, za które on dobrze płaci. Wkrótce jednak pieniędzy w kasie zabrakło a kozaków nie ubywa. Rozgniewany sułtan szykuje sam wyprawę na Zaporożan, ale ci, wsparci siłami Chodkiewicza, ogromną zadają klęskę.

Turcy pobici na głowę, rejterują. Zaporożcy złączeni z Polakami, ścigają ich po za obóz i docierają do tureckich namiotów. Chciwość jednak zwycięzców daje czas do zebrania się wojsku obcemu, które tym razem zadaje ciężkie ciosy rozpierzchłym poszukiwaczom zdobyczy. Pobici rejterują do obozu.

Tureckie ataki, coraz częściej się powtarzały, ale zawsze z podobnym skutkiem.

Tym razem jednak padł chorąży polski; a z nim i chorągiew Chodkiewicza dostała się w nieprzyjacielskie ręce. Rozrzewniony starzec, nie może dłużej wysiedzić w obozie. Pragnie wyrwać z rąk wrogom swoją towarzyszkę wypraw, zwłaszcza, że niedbałość króla Zygmunta III nie pozwala dłużej dla braku żywności pozostać w zamkniętym obozie. Głód i brak amunicyi zmusza ich do wystąpienia w pole, a król z posiłkami, pomimo częstych wezwań, nie przybywa, co zmusza Chodkiewicza do wystąpienia w otwartem polu. Zwycięztwo i tym razem nie zawiodło Polaków. Turcy uszli, a wojsko nasze zabrawszy co się dało, powróciło do obozu. Już możnaby skończyć raz z tem pogaństwem, rozbić go na miazgę i podsunąć się pod Konstantynopol, ale król z pospolitem ruszeniem nie nadciąga, a Chodkiewicz, choćby rad pędzić za barbarzyńcami, choćby rad wydrzeć im swoją ukochaną chorągiew, bał się odstąpić tak świetnego stanowiska. Ale i kozacy zaczynają się buntować, których ani Sobieski, ani Sajdaczny udobruchać nie mogą. Dopiero kiedy Lubomirski z własnych funduszów przyrzekł im wypłacić żołd powtórny, zmiękli i uspokoili się nieco, czyniąc jeszcze tej nocy wyprawę do obozu po bydło i konie.

Tymczasem Turcy otrzymali nowe posiłki pod dzielnym Karakaszem-baszą, ale i te nie na długo starczyły. Rozgromniony Karakasz poległ na polu bitwy, a Weweli przybył naprawdę po tej walca traktować o pokój.

Na prośby posła wyprawiono do obozu tureckiego Zielińskiego, który powrócił z wieścią, że Turcy pragną pokoju i proszą o dwóch pełnomocników. Na nieszczęście, już Zieliński nie mógł się widzieć z Chodkiewiczem, który leżał na łożu śmiertelnem. Tejże jeszcze nocy zmarł on na zamku Chocimskim dnia 7-go października (1622 roku) (*) oddając przedtem buławę Lubomirskiemu. Ciało zmarłego odwieziono do Kamieńca, a potem do Ostroga.

* * *

(D. c. n.)

(*) Chodkiewicz u naszych historyków umiera 24 września; 9 października Osman jest zmuszony przyjąć warunki pokoju; 10, papież nadał święto na pamiątkę zwycięztwa pod Chocimem.

Polot w sfery niedoścignione.

Zrywam łańcuch kotwicy i w jasne przestworze
Puszczam łódź mego ducha ze słońcem w zawody;
Tam, w głębi, toczy perły tajne szczęścia morze,
I świetnych mar ocean rozwiesił swe wody.
Orzeł leci w błękity — wczas mi jego pióra...
Kędy lazur migoce w srebrnych chmurek pyle,
Skrzydło ducha rozdęte jak potopu chmura,
Pomyka, wije kręgi swobodne, motyle.
I czarny potwór ziemi już zapadł w topiele,
Tumy jego więzienne mętów fala głodna
Zalewa: słychać tylko toń dzikich wesele...
Myśl jak oko sokole promienna, pogodna,
Wita gwiazd miryady, krewni się z ich chwałą...
Uczta bogów!... Ach! stójmy: serce bić przestało.

Romania Kamieńska.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXVII.

Bitwa pod Aschaffenburg.

Książę heski odebrał podczas obiadu następującą depeszę:

„Awangardy pruskie ukazały się przed wąwozami Vogelsbergu.”

Wiadomość ta zadziwiła bardzo głównodowodzącego jenerała, gdyż sądził, że nieprzyjaciel nadciągnie od strony lasu Turingen.

Wyprawił natychmiast rozkaz do Darmstadtu, aby oddział 3,000 żołnierzy udał się niezwłocznie koleją do Aschaffenburga i zajął most. Poczem kazał zatrąbić pobudkę i uderzyć w bębny.

Dwa statki parowe oczekiwały w Sachsenhausen, a na dworcu kolei sto wagonów, z których każdy mógł pomieścić 50 żołnierzy.

Podwójny ten apel smutne w mieście sprawił wrażenie. Dziwne zamieszanie zapanowało przez chwilę; jedni biegli na prawo, drudzy na lewo; mundury mijały się i mieszały — aż nagle, jakby niewidzialna ręka uszykowała wszystkich — po upływie pięciu minut, konnica była na koniach, piechota stała w porządku trzymając broń do nogi. Wszyscy byli gotowi do wymarszu.

I tym razem Frankfurt okazał żywe współczucie, jeźli nie samym Austryakom, to zawsze obrońcom Austryi. Piwo stało w beczkach, wino w konwiach. Najznakomitsi obywatele uściśnieniem dłoni żegnali oficerów; panie zachęcały żołnierzy. W wolnem mieście zapanował nieznany dotąd duch braterstwa, zbudzony wspólnem niebezpieczeństwem.

Z okien wołano: „Odwagi!... Zwyciężycie!... Niech żyje Austrya!... Niech żyje armia związkowa!... Niech żyje książę Aleksander heski!... Niech żyje hrabia Monte Nuovo!...”

Tyralierom styryjskim Karola rozkazano siadać do pierwszych wagonów; oni pierwsi mieli spotkać się z Prusakami. Wsiedli wesoło do wagonów, nie mając innej muzyki nad dwóch flecistów hrabiego.

Po nich następowała austryacka brygada hrabiego Monte-Nuovo, a nakoniec armia związkowa, złożona z Hesseńczyków i Wirtemberczyków. Brygada włoska odpłynęła statkami parowemi, protestując przeciw temu rozkazowi i oznajmiając, że nie da ani jednego strzału do swych sprzymierzeńców Prusaków, w obronie Austryaków swoich wrogów.

Kolej pędziła z możliwym pośpiechem, unosząc wojsko, broń, armaty, amunicyą, konie, ambulanse. Za półtory godziny stanęli w Aschaffenburgu.

Noc zapadała; nie dostrzegano Prusaków. Zapewnie nie chcieli zapuszczać się w wąwozy Vogelsbergu, nie zbadawszy pierwej czy nie są strzeżone.

Książę heski wysłał rekonesans; żołnierze powrócili około jedenastej wieczór, zamieniwszy kilka strzałów z Prusakami, o dwie godziny drogi od Aschaffenburga.

Wieśniak jakiś, który jednocześnie z Prusakami przebywał wąwóz, opowiadał, że było ich 5,000 do 6,000, i że zatrzymali się oczekując na nadciągający korpus, składający się z 7,000 do 8,000 żołnierzy.

Tym sposobem siły obu stron byłyby prawie równe. Należało bronić przejścia Menu, a odniesionem zwycięztwem osłonić Frankfurt i Darmstadt.

Strzelców styryjskich ustawiono na drodze. Po zadaniu jak największych ciosów nieprzyjacielowi, mieli się cofnąć ustępując miejsca piechocie i konnicy, a sami uszykować się przed mostem i bronić go do ostateczności, jako jedynego miejsca zapewniającego odwrót wojsk związkowych. Wszyscy już na noc zajęli stanowiska na których mieli walczyć nazajutrz; jedli i spali biwakując.

Rezerwa złożona około z 800 ludzi, rozmieszczona była w domach miasta, która w razie ataku miała bronić dom za domem. Noc przeszła spokojnie. Dzień zaświtał.

O dziesiątej, Karol, zniecierpliwiony oczekiwaniem, wsiadł na konia, i zostawiając dowództwo Benedyktowi, poleciał galopem w kierunku Prusaków — maszerowali nareszcie. Zwróciwszy konia, popędził do hrabiego Monte-Nuovo, i powrócił z dwoma działami, które ustawiono w poprzecz drogi. Cztery ścięte drzewa utworzyły rodzaj szańca dla artylerzystów.

Prusacy zbliżali się ciągle. Dano ognia z paru dział austryackich; kule ich zabiły czy raniły nieprzyjacielowi ze dwudziestu żołnierzy. Działa dały ognia powtórnie, i nowi posłańcy śmierci, nowe kule armatnie, szerzyły śmierć i zniszczenie w szeregach nieprzyjacielskich.

— Będą szarżować, aby nam zabrać armaty, rzekł Karol do Benedykta, rozdzielmy nasze siły: ty weź pięćdziesięciu ludzi i schroń się z nimi do lasku na prawo, ja z drugą połową na lewo. Mamy stu wybornych strzelców, powinniśmy ubić im ze stu ludzi i z 50 koni.

Sprawdziło się co przewidział Karol; szwadron szaserów wysunął się naprzód; ostrza ich szabli błyszczały na słońcu. Jednocześnie dał się słyszeć tentent kilkuset koni, pędzących galopem, których kopyta bijące o ziemię, wydawały odgłos podobny do grzmotu. Wtedy z obu stron drogi sypnął się ogień z ręcznej broni; pułkownik i podpułkownik pruski spadli z koni; co chwila padał żołnierz lub koń!

Wkrótce trupy ludzi i koni zaległy drogę; ostatnie szeregi nie mogły jechać dalej. Musiano po-

wstrzymać szarżę o sto kroków od dwóch dział, które ciągle dawały ognia szerząc zamieszanie w kolumnie.

Prusacy kazali wystąpić artyleryi i ustawili baterye z sześciu dział, aby działały przeciw dwom działom austryackim.

Tyralierzy austryaccy podsunęli się prawie na trzysta kroków od bateryi, i gdy sześciu artylerzystów, ze zwykłą pruskim manewrom dokładnością, podnieśli lonty, aby dać ognia, padły trzy strzały z lewej i trzy strzały z prawej strony, i wszyscy sześciu padli. Sześciu innych chwyciło zapalone lonty i ugodzeni padli obok towarzyszy.

Jednocześnie dwa działa austryackie nie przestawały dawać ognia, i zdemontowały jedno działo pruskie.

Wtedy Prusacy wykonali od czego zacząć było trzeba; wykomenderowali 500 tyralierów z iglicówkami, aby wyparli z lasku strzelców styryjskich.

Z obu stron równiny sypał się jak grad ogień z ręcznej broni, a jednocześnie na drodze posuwała się piechota kolumnami, dając ognia do bateryi. Artylerzyści zmuszeni byli zaprządz konie i cofnąć się z działami.

Przez to cofnięcie zdemaskowały brygadę Neüperga.

Wtedy na wzgórzu leżącem nieco przed Aschafenburgiem, ustawiono baterye z trzech dział, których kule padały w zbite masy pruskie. Widząc iż mimo tego ognia z dział, który obalał całe szeregi, Prusacy ciągle postępowali naprzód, hrabia Monte-Nuovo stanął sam na czele pułku kirasyerów i zaczął szarżować.

Książę Aleksander heski wydał rozkaz armii badeńskiej, aby go popierała.

Na nieszczęście, na lewem skrzydle postawił pułk włoski, który oznajmił powtórnie, że pozostanie neutralnym, ale bić się nie będzie.

— Więc każe strzelać do was! zawołał książę.

— Każ książę strzelać, odrzekł oficer oznajmiający postanowienie pułku. Jesteśmy Włochami, a zatem nieprzyjaciołmi Austryi; to tylko możemy zrobić, że nie przejdziemy do Prusaków.

Książę kazał dać ognia; wykonano rozkaz. W szeregach padło kilku ludzi, ale wszyscy pozostali niewzruszeni jak posągi, trzymając broń do nogi i nie strzelając. Czy wypadek tak zrządził, czy też Prusacy byli uprzedzeni o tej neutralności, dość że główny atak skierowali na lewe skrzydło, które nie broniąc się dozwoliło im pobić hrabiego Monte-Nuovo.

Strzelcy styryjscy cudów dokonywali. Stracili 30 ludzi, ale przeszło 300 zabili nieprzyjacielowi; poczem stosownie do odebranego rozkazu, zebrali się przed mostem Aschaffenburskim. Tu Karol i Benedykt usłyszeli silny odgłos strzałów karabinowych od strony miasta.

Było to prawe skrzydło Prusaków, którzy obszedłszy lewe skrzydło księcia heskiego, atakowali przedmieścia.

— Benedykcie, rzekł Karol, bitwa przegrana, fatalność jakaś ciąży nad domem austryackim. Ja zginę, jak to jest moim obowiązkiem; ale ty, którego nic nie wiąże do naszych losów i bijesz się tylko jako amator, będąc Francuzem, popełniłbyś szaleństwo dając życie za obcą ci sprawę, która nie zgadza się nawet z twoim sposobem myślenia. Walcz więc, jeźli chcesz koniecznie, do ostatniej chwili, ale gdy już zobaczysz, że już wszystko stracone, że dalszy opór na nic się nie przyda, wracaj co prędzej do Frankfurtu i udaj się zaraz do Heleny. Jeźli zginę w twoich oczach, powiesz jej w którem miejscu oddałem ducha Bogu; jeźli zaś śmierć w żaden sposób zabrać mnie nie zechce, powiesz, że wraz ze szczątkami armii, cofnąłem się ku Darmstadt lub ku Würzburgowi. Jeźli zginę, myśl o niej będzie ostatnią moją myślą; jeźli żyć będę, ztamtąd zaraz napiszę do niej. Oto testament mego serca, bądź jego wykonawcą.

Za całą odpowiedź Benedykt uścisnął dłoń hrabiego.

— Teraz, mówił dalej hrabia, spełnię obowiązek żołnierza, aby do ostatniej chwili służyć swej sprawie; mamy tu wszystkiego 170 żołnierzy; ja biorę połowę i biegnę na pomoc broniącym miasta; ty z drugą połową pozostań przy moście. Czyńmy każdy co może. Kanonada i strzały z ręcznej broni zbliżają się coraz więcej — nie mamy chwili do stracenia — uściskajmy się... może po raz ostatni.

Rzucili się sobie w objęcia; poczem Karol popędził ku miastu i znikł wkrótce w coraz bliższych kłębach dymu; Benedykt zajął niewielkie wzgórze pokryte krzakami, z którego mógł bronić lub pomagać do przejścia mostu.

Zaledwie stanąwszy tam, ujrzał tumany prędko posuwającego się kurzu; była to konnica badeńska, ścigana przez pruskich kirasyerów. Pierwsze szeregi uciekających z łatwością most przebyły, ale wkrótce tak został natłoczony przez ludzi i konie iż przebyć go było niepodobna; zatem ostatnie szeregi musiały zwrócić się przeciw ścigającym.

W tejże chwili strzały Benedykta i jego tyralierów położyły trupem trzydziestu kirasyerów pruskich i kilkanaście koni; zatrzymali się zdziwieni, strzelcy badeńscy nabrali odwagi. Niebawem padły nowe strzały, dał się słyszeć brzęk kul obijających się o szyszaki, jak grad padający na dachy żelazne. Padło dwudziestu ludzi i tyleż koni; powstało zamieszanie w szeregach kirasyerów, z czego korzystając strzelcy, odwrócili się i zaczęli szarżować.

Ze wszech stron cisnęli się ku mostowi i cofający się i nacierający, straszne powstało zamieszanie.

Jednocześnie przez stojące w ogniu ulice miasta cofały się resztki armii związkowej, Karol jechał wśród nich spokojny i poważny, za każdym danym przez niego strzałem, padał jeden z nieprzyjaciół. Był z odkrytą głową, kula pruska zerwała jego styryjski kapelusz. Po twarzy mała struga krwi płynęła.

Spojrzeli na siebie z Benedyktem — wtem dał się słyszeć ciężki tentent, od którego ziemia zadrżała. Byli to kirasyerzy pruscy, którzy nacierali znów galopem, przebili się przez uciekających Badeńczyków i Heseńczyków, i zdołali wedrzeć się na most, na jedną trzecią część jego.

Benedykt mógł jeszcze dojrzeć Karola walczącego z kapitanem pruskim, którego wreszcie przebił bagnetem. Kapitan padł, w jego miejsce dwóch kirasyerów natarło na Karola z podniesionemi szpadami, Benedykt strzelił dwa razy; jeden z kirasyerów padł zabity, drugi został raniony.

Niezadługo widział znów jak wir uciekających poniósł z sobą Karola ku mostowi, pomimo największych jego usiłowań, aby ich zatrzymać i uszykować. Ściśnięty ze wszech stron, musiał rzucić się na most, wraz z zostającymi mu jeszcze 60-u ludźmi

Straszne powstało zamieszanie; tratowano poległych i rannych; kirasyerzy pruscy, siedząc na swych wielkich koniach, podobni do olbrzymów, prostemi szpadami swemi przebijali uciekających.

— Strzelać do nich! krzyknął Benedykt.

Ci z jego strzelców, którzy mieli broń nabitą, dali ognia natychmiast; kilku kirasyerów spadło z koni; kule zadźwięczały obijając się o kirysy innych.

Nowa szarża zbliżyła kirasyerów do strzelców styryjskich. Nacierany przez dwóch z nich, Benedykt zabił jednego bagnetem; drugi chciał koniem swoim przycisnąć go do parapetu mostu; wtedy wyciągnął swój nóż myśliwski i po rękojeść wbił go w piersi konia, który z przerażającem rżeniem spiął się i rzucił. Wtedy Benedykt przemknął się prędko pod przedniemi jego nogami, przeskoczył baryerę mostu, i uzbrojony wskoczył do Menu.

Spojrzał jeszcze w stronę w której Karol znikł mu z oczu — ale upatrywał go daremnie.

Mogło być około piątej wieczorem.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena trzynasta.

ROGER, KSIĘŻNA.

Księżna. I cóż?

Roger. Ha, i cóż!

Księżna. Jesteś wzruszony!

Roger. Ona... okazała się bardzo serdeczną... może za serdeczną...

Księżna. Radzę ci się na to żalić... więc nic nie zauważyłeś?... bo co do mnie, znalazłam tu... (Wyjmuje z kajetu Zuzanny kartkę fotograficzną.)

Roger. Fotografia?

Księżna. Profesora.

Roger. W jej kajecie?

Księżna. Tak — albo to znowu...

Roger. Pozwól księżno...

Panie zewnątrz. Cudowny, prześliczny odczyt... wspaniały!

Księżna. Otóż i sam objekt ze swą przyboczną strażą.

Scena czternasta.

Ciż, BELLAC, panie: ARRIEGO, de LOUDAN, de SAINT-RÉAULT, de CÉRAN, ŁUCYA.

Pani de Saint-Réault (wchodząc). Przepyszny był... znakomity!

Bellac. Pani de Saint-Réault, oszczędzaj mnie.

Pani de Loudan. Idealny, czy słyszycie państwo... idealny!

Bellac. Margrabino!

Pani Arriego. Piękny, przepiękny, przecudowny!... czuję się roznamiętnioną.

Bellac. Uspokój się pani Arriego.

Pani de Loudan. Powiedzmy bez ogródki: był niebezpieczny, lecz czyliż to nie jest jego grzech codzienny?

Bellac. Łaski, pani Loudan!

Pani de Loudan. Najpierw co do mnie — rozszalałam się w pańskim talencie i w panu... tak,

nie taję się z tem. Mówię to wszędzie cynicznie... Pan jesteś jednym z bogów mojego Olimpu... wiem, że jest to fetyszyzm.

Pani Arriego. Wiecie panie, że noszę jego autograf w medalionie (pokazuje na szyję) tu...

Pani de Loudan (ukazując swoje piersi). A ja jedno z jego piór, tu.

Księżna (do Rogera). Stare kotki!

Pani de Loudan (do pani de Céran). Hrabino! Hrabino dlaczego nie byłaś na odczycie?

Pani de Céran (przedstawiając Rogera). Ot moja wymówka. Mój syn.

Panie. Ah! hrabino?

Roger (kłaniając się).

Pani de Céran (przedstawiając Bellaca swojemu synowi). Pan Bellac, hrabia Roger de Céran.

Pani de Loudan. Pojmuję że przeszkoda była nieunikniona, ale ty, Łucyo, ty?

Łucya. Ja miałam interes w domu.

Pani de Loudan. Ty nieobecna, jemu brakło muzy.

Bellac (galanteryjnie). Mógłbym odpowiedzieć margrabinie: pani jesteś drugą Muzą.

Pani de Loudan. Bardzo przyjemny. (Do Łucyi.) Nie wiesz nawet ileś straciła!

Łucya. O! wiem!

Pani Arriego. Nie — ona nie wie — to był płomień, rozhukana namiętność.

Pani de Loudan. Słodki powiew słów, delikatność myśli.

Bellac. Wobec takich słuchaczek, któż może nie być wymownym!

Księżna. A o czemże dziś mówił?

Wszystkie. O miłości!

Księżna (do Rogera). Pojmujesz?

Pani Arriego. Mówił jak poeta.

Pani de Loudan. I jak uczony — psycholog z duszą marzyciela! lira ze skalpelem!... Było to coś... Jednej tylko rzeczy nie przyznam nigdy, to jest iżby miłość miała swe źródło w instynkcie.

Bellac. Jednak, margrabino, mówiłem...

Pani de Loudan. Co do tego, to nie, nie.

Bellac. Mówiłem o miłości w naturze.

Pani de Loudan. Instynkt — pfe! Panie brońcie mnie, pomagajcie mi, Łucyo!

Bellac. Źle się odwołujesz margrabino, bo miss Watson jest także za instynktem.

Pani de Saint-Réault. Czyż podobna?

Pani Arriego. W miłości?

Pani de Loudan. Znaczyłoby to odkraść duszy najpiękniejszy jej kwiat, a wreszcie wtedy, Łucyo, nie może już być mowy ani o dobrem ani o złem...

Panie (protestując). O, nie!

Księżna (na str.). Nie ma co mówić, ona jest praktyczną.

Pani de Loudan (z oburzeniem). Ależ wy odzieracie miłość z aureoli.

Łucya. Hunter i Darwin...

Pani de Loudan. Nie, nie, nie, nikt lepiej ode mnie nie zna się na fatalnościach ciała — materya panuje nad nami i przygniata nas, wiem o tem i czuję to, lecz zostaw nam pan przynajmniej psychiczne schronienie czystych uniesień.

Bellac. Jednak margrabino...

Pani de Loudan. Nie wolno panu mówić, — brzydki! Ja nie chcę obalać swego Boga, byłoby to świętokradztwem, lecz mam żal do pana.

Księżna (na stronie). Biedne maleństwo!

Bellac. Mam nadzieję, że się pogodzimy, gdy pani przeczytasz moją książkę.

Pani de Loudan. Ale kiedy, kiedy? Oh na tę książkę świat cały czeka, a on niechce nam powiedzieć nawet tytułu.

Wszystkie. Tytuł przynajmniej, tytuł.

Pani Arriego. Łucyo! ty proś go i zaklinaj!

Łucya. Zatem tytuł?

Bellac (do Łucyi po chwili). Mięszaniny!

Pani de Loudan. Jakież to ładne!... ale kiedy? kiedy?

Bellac. Przyśpieszam wydanie, licząc na to, że będzie ono dla mnie jednem prawem więcej do otrzymania posady o którą się staram.

Pani de Céran. Pan się stara?

Pani Arriego. Czegóż mu jeszcze potrzeba?

Pani de Loudan. Jemu, ulubieńcowi bogów!

Bellac. Ten biedny Revel ma się coraz gorzej, wszak panie wiedzą o tem, zatem na każdy wypadek przyznaję się otwarcie, postawiłem swą kandydaturę na dyrektorstwo młodej szkoły.

Księżna (do pani de Céran). To już trzech!

Bellac. W razie niepowodzenia, co nie daj Boże, udaję się pod wszechwładną opiekę pań.

Panie. Bądź pan spokojny.

Bellac (zbliżając się do księżnej). A na księżnę mogęż liczyć?

Księżna. Łaskawy panie, mnie nie trzeba nigdy o nic prosić przed obiadem; fatalność ciała panuje nade mną, jak mówi pani Loudan. (Słychać dzwonek.) I słyszysz pan pierwsze uderzenie, masz pan zaledwie kwadrans czasu. Pójdźmy się przebrać, a przy stole pogadamy o tem.

Pani de Céran. Przy stole,—ten pan Toulonnier nie przybył jeszcze, księżno.

Księżna. To mi wszystko jedno — punkt o szóstej jadam z nim lub bez niego.

Pani de Céran. Bez niego! sekretarza jeneralnego?

Księżna. Sekretarza Rzeczypospolitej.

(Zazanna wchodzi ze swemi kajetami pod pachą i kładzie je na stole.)

Pani de Céran. Idę na jego spotkanie. (Do Bellaca.) Mój drogi profesorze, zaraz panu wskażę jego pokój. (Dzwoni, Franciszek wchodzi).

Bellac. Niepotrzeba hrabino, gdyż mam to szczęście znać już drogę. (Po cichu do Łucyi.) Odebrałaś pani mój list?

Łucya. Tak, lecz...

(Bellac daje jej znak ręką żeby milczała, kłania się i odchodzi na prawo.)

Pani de Loudan. A my, piękne panie, czyż nie wystroimy się dla naszego boga?

Pani Arriego. Chodźmy.

Pani de Céran. Czy pójdziesz ze mną Łucyo?

Pani de Loudan. W tej toalecie? Nie lękasz się moja kochana zdradzieckiej piękności wieczorów wiosennych?

Łucya. Mnie wcale nie zimno.

Pani de Loudan. Prawda, pani jesteś córką mgieł. Co do mnie, zawsze się bardzo boję wilgoci niebieskich.

Franciszk (do Łucyi). Proszę pani, w żaden sposób nie mogę znaleźć tego różowego papieru.

Zuzanna (podnosząc papier różowy, który zrzuciła ze stołu, przy porządkowaniu papierów i swoich kajetów, na str.) Różowy papier! (Przypatruje mu się.)

Łucya. A! ten list, który nadszedł dziś rano.

Zuzanna (chowając go żywo po za siebie). List, który nadszedł dziś rano!

Łucya (odchodząc, do Franciszka). Proszę już nie szukać, nie potrzeba.

(Wychodzi drzwiami ogrodowemi, Franciszek za nią.)

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

(Dalszy ciąg.)

Pod względem starożytności pamiątek kościelnych najpierwsze miejsce zajmuje relikwiarz katedry kruszwickiej, sięgający XIII wieku. Jest to szkatułka długości blizko 10 cali a 5 szerokości; wysokość dochodzi 4 cali. Przykrywę zdobi emalja niebieska, na tle której wyrobione są figury świętych. Relikwiarz ten jest bronzowy, grubo złocony; rysunek dowodzi, iż jest on dziełem zdolnego bardzo artysty, szczególniej ze względu, iż wykonany był przed mniej więcej pięciuset laty. Styl ozdób i figurek jest mieszaniną bizantyńskiego i romańskiego; relikwiarz zachowany dobrze, co dowodzi umiejętnej troskliwości kapłanów pod których opieką zostawał.

Prześliczna jest i powszechną zwracała uwagę wielka srebrna ze złotem monstrancya, w stylu czysto gotyckim. Na ciężkiej podstawie wznosi się główny korpus monstrancyi, podzielony na trzy pola, zakończone wieżyczkami. Sanctissimum mieści się w polu środkowem i zdobi go najwyższa wieżyczka, filigranowa, z ornamentacyą w stylu gotyckim. W środku słupka wieżowego umieszczona jest figurka Naj. Panny, wysokości 2 cali, a strzała środkowej wieży zakończona jest krzyżem, z rozpiętym na nim Chrystusem. Strzały bocznych wieżyczek zakończone są aniołkami. Pola w monstrancyi zapełnione są figurkami biskupów i królów i filigranowemi arabeskami. Wysokość wynosi półtora łokcia; jest to własność archidyecezyi warszawskiej, wyrób XVI w.

Wielki krzyż srebrny złocony ze szmaragdami z figurą Pana Jezusa, w końcu każdego ramienia wytłoczone medaliony czterech Ewangelistów; styl gotycki, wyrób bawarski z XVI wieku. Własność archidyecezyi warszawskiej.

Zwracał także uwagę pacyfikał składający się z platy okolonej girlandą, ozdobionej wieńcem drogich kamieni, otaczającym miejsce przeznaczone na relikwie. Wierzch zdobią dwa aniołki umieszczone w środku cierniowej korony. Co do artystyczności wyrobu, największą wartość mają figurki. Jest to własność dyecezyi płockiej.

Prawdziwie artystycznem utworem sztuki jest wyrzeźbiona w srebrze postać Chrystusa przybitego do krzyża, dłuta artysty włoskiego Algardi'ego; wyrób włoski z XVII wieku; własność pana Jana Zawiszy.

Ciekawym okazem jest galwanoplastyczny odlew patyny srebrnej wyzłacanej, znajdujący się w kollegiacie kaliskiej. Rytowanie przedstawia Mieczysława III króla polskiego, który, za wstawieniem się opata Szymona, ofiaruje św. Mikołajowi kielich i patynę. Jest to utwór z XII wieku, wykonany przez braciszka zakonnego Konrada w 1190 r.

Relikwiarz pochodzący z pierwszej epoki dziejów naszych, bo z początku XII stulecia; jest to podłużna srebrna skrzyneczka, ozdobiona stojącemi postaciami świętych, rysowanemi w złocie, na tle szafirowej i popielatej emalii. Styl romański, z reminiscencyami wszechwładnego niedawno byzantynizmu.

Różaniec z krwawników i górnych kryształów, okutych w srebro, z medalionem Matki Boskiej Częstochowskiej, także w srebro oprawnym; wyrób polski z drugiej połowy XVI wieku.

Krucyfiks srebrny wytłaczany, ze złoceniami; wyrób polski z 1712 roku.

Śliczna jest bronzowa pozłacana grupa, przedstawiająca biczowanie Chrystusa. Jest to wyrób włoski z XVII wieku, bez zarzutu pod względem artystycznego wykończenia, szczególniej postać Zbawiciela przykuwa wzrok niezrównanym wyrazem boskości. Piękny ten utwór artystyczny znawcy oceniają bardzo wysoko. Jest to własność hr. Ludwika Krasińskiego.

Nie możemy tu pominąć srebrnego trybularza, z XVI wieku, filigranowej weneckiej roboty, w kształcie niewielkiej czworokątnej latarki. Cały wyrzynany jest bardzo misternie *à jour* w drobne arabeski; tak całością jak charakterem tych ozdób trybularz ten przypomina smak wschodni, cechujący wyroby wielu artystów i złotników weneckich.

Z bliższych nam czasów, z wieków XVII i XVIII nie przedstawiono na wystawie żadnych sprzętów kościelnych złotniczego wyrobu, i wogóle okazów tych jest bardzo niewiele; nie oznacza to jednak naszego pod tym względem ubóstwa, gdyż kilka tylko kościołów wystawie skarbce swe otworzyło. A i z dawnych zabytków ileż to drogocennych pamiątek znalazłoby się nawet w najuboższych może wiejskich kościołkach, gdzie najczęściej nikt się nawet nie domyśla wysokiej ich wartości.

Inne działy wyrobów złotniczych są liczniej reprezentowane; niektóre np. zastawy i naczynia stołowe, nie powstydziłyby się stanąć choćby na monarszych stołach. Do takich zaliczamy zastawę srebrną wyobrażającą polowanie, a składającą się z czterech waz, czterech łyżek wazowych i półmiskowych, dwóch musztardniczek, dwóch cukierniczek i czterech solniczek; piękny wyrób z początku XVIII stulecia. Solniczka srebrna w formie Trytona, wyrób włoski, podany za utwór sławnego Benvenuto Cellini, z XVI wieku. Pełno tu serwisów, tac, waz, koszy, cukiernic, imbryków do kawy i herbaty, samowar, nalewki, łyżki, sztućce, podstawy do owoców, niektóre z XVI i XVII w., najwięcej nowoczesnych i zagranicznych utworów. Wyliczymy tylko wyroby polskie. Cukiernica srebrna wykuwana, wyrób zeszłowieczny, zresztą same prawie łyżki z herbami i napisami. I tak: jedna srebrna, z herbem „Habdank" i z napisem: „Kto mnie ztąd wyniesie — pewnie go dar wzniesie"; wyrób polski z XVI w. Łyżka srebrna z napisem: „Miewaj na pieczy poczciwe rzeczy" — początek z. w. Łyżka srebrna, wyrób polski z 1632 roku z napisem: „Dobra żona, mężowa korona". Sześć łyżek srebrnych, z tych trzy złocone, z herbami wyrób polski XVI wieku. Czternaście łyżek srebrnych z napisami polskiemi, datami i herbami, z XVI i XVII wieku; ten liczny zbiór jest własnością konsula francuzkiego, barona Finot. Jeszcze parę łyżek z napisami i kilka z herbami. Oto wszystkie przedstawione wyroby krajowe z działu zastaw i naczyń stołowych.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Dokończenie.)

W akcie drugim Zamry jest u Madyanitów, a p. Łętowski z prawdziwą miarą artysty i psychologa nie każe mu składać hołdu Baalowi, nie każe mu zapominać, że jest Izraelczykiem, ale wykazuje plastycznie zupełne, bezwarunkowe oddanie się miłości ku Selli. Widzimy Zamrego zaślepienie, szaloną namiętność, która nim całkowicie owłada i wiedzie do zdrady i zguby. Sellę i kapłanów Baala wiedzie on do obozu izraelskiego, a Noah jest świadkiem czułych słów zakochanych, jej zamach na życie Selli przez wiernego, w niej zakochanego sługi Namuela i śmierć tegoż z ręki Zamrego, jest pierwszym krokiem złym, który w następstwie sprowadza ich cały szereg.

Tymczasem w obozie izraelskim z rozkazu Mojżesza i Fineesa, niegdyś najmilszego przyjaciela Zamrego, przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności: lewici krążą chcąc pochwycić obcych kapłanów i buntowniczych przewódzców.

Na straży namiotu Zamrego, jego czci i honoru staje Noah: jeszcze raz pragnie ona utraconą miłość pozyskać — lecz nadaremnie. Śliczne są słowa jej, gdy samotna stoi przed namiotem kryjącym Sellę:

Czasem!... O! czasem wicher drzewa łamie —
I gwiazdzie spadać smutno, przecież spada —
I skąpiec czasem skarbu nie ustrzeże —
I lwica lwiątek nie zawsze obroni,
I słońce czarnej nie przebije chmury,
I matce czasem z rąk wypada dziecko!
I ja miłości nie mogłam zatrzymać —
Przeszła, jak wszystko tu przechodzić zwykło,
Mimo mej woli, i mimo mej winy!...
Wspomnienie tylko pozostało po niej,
Blade, stargane, jak listek jesienią,
Który zieloną wspominając wiosnę,
Ból w sercu rodzi... Lecz to zwykła kolej!
Śmierć leczy w końcu i z największych smutków—
Pociesz się serce!... Śmierć?... śmierć... lecz nie
Nie — on żyć będzie. Dopóki ja żyję [jemu —
Będę go bronić!...

I broniła go Noah, zabijając własną ręką lewitę Jessera, który odkrył tajemnicę Zamrego, lecz nawet to zabójstwo, zamiast usunąć, przyspiesza katastrofę: jeszcze chwila, a Zamry stanie się buntownikiem jawnym i walka wybuchnie w łonie Izraela. Szybko zbliżamy się do końca. Zamry widząc w więzach Sellę, wzywa lud do walki, groźne okrzyki pochwały i współudziału rozlegają się, stoimy u szczytu i w owej chwili Finees w imię praw zakonu, własną ręką zabija Zamrego, zaś Noah ginie wraz z kochankiem, zabijając wprzód Sellę. Na scenie w akcie piątym wyprowadzają Sellę by ją ukamienować, co naszem zdaniem jest chybioną poprawką, gdyż leżało w psychologicznym rozwoju Noahy, by ona Sellę zabiła — ukamienowanie zaś niewinnej Madyanitki staje się aktem posępnego i groźnego despotyzmu.

Rozejrzawszy się w charakterach, to jedynie wykończonemi artystycznie są Zamry i Noah, reszta postaci jest traktowana szkicowo, aczkolwiek rysunek ich, zwłaszcza w akcie trzecim i czwartym, jest tak dosadny i śmiały, że zarzut ten schodzi do rzędu pomniejszych usterek. Dość powiedzieć, że poecie udało się wprowadzić na scenę Mojżesza,— bez wywołania komizmu, zachowuje on pewną miarę artystyczną, która tak ryzykowną postać jak Mojżesza uczyniła możliwą. Nie możemy jednak zataić, że Mojżesz p. Łętowskiego nie budzi tej grozy, nie imponuje i nie dominuje, jak to widzimy z opowieści biblijnej; schodzi on w dramacie na trzecioplanową figurę, która w akcyi bierze tylko pośredni udział. Finees, uosobiona sprawiedliwość, zacność, który na ołtarzu miłości Boga i ludu nie waha się poświęcić przyjaźń Zamrego i sam go zabija—wyszedł blado. Postać bohaterskiego Jozuego przeciążył autor miłosnemi narzekaniami; człowiek, który tak rozpacza i narzeka nad zawodem serca, nie jest Jozuem biblijnym, lecz wytworem fantazyi poety. Sella, miłe, niewinne dziecko natury, stanowi doskonały kontrast do namiętnej i posępnej Noahy, chociaż i w niej zamało jest zaakcentowany pierwiastek zmysłowy. Charakterystyka miłości, zazdrości i namiętności osób w dramat wchodzących jest pyszną; każda przemawia innym językiem, każda nosi na sobie odmienny koloryt. Burzliwy lud, tak skłonny do zmiany, jest bardzo dobrze scharakteryzowany w przemówieniach Zamrego i „pierwszego z ludu."

Całość wogóle pozwala tuszyć bardzo dobrze o p. Łętowskim; jest w nim wysoki talent poetyczny, wielka znajomość tajników serca i umysłu, a w kreśleniu scen lirycznych osiąga nawet miejscami doskonałość. Nie możemy tego powiedzieć o dramatycznej sile, która nie zawsze dopisuje poecie, jak również sama technika sceniczna jest czasami wadliwą. Uwzględniwszy jednak, że jest to pierwsze dzieło, szerszego pokroju, że autor nie miał sposobności nabycia tajemnic techniki dramatycznej — stawiamy „Izraela na puszczy" w rzędzie takich sztuk, których pomyślny debiut pozwala spodziewać się, że przyszłe utwory pozbywszy się wad, udoskonalą dodatnie strony, których i w tym dramacie niebrak.

W ubiegłym miesiącu grano ten utwór po raz pierwszy na scenie teatru warszawskiego. Obsada dramatu nie była zbyt szczęśliwą, a nawet szwankowała w kilku rolach tak dalece, że gdyby nie sam dramat, bylibyśmy mieli o jedną upadłą sztukę więcej. Panna Deryng (Noah) odegrała swą rolę prawdziwie po mistrzowsku, wycieniowała ją w najdrobniejszych szczegółach, a szlachetną deklamacyą i nastrojem tragicznym wywołała prawdziwą burzę oklasków. Tem dziwniejsze są słowa krytyków (pp. Krzemiński i Lubowski), którzy z gorliwością, godną lepszej sprawy, starali się usilnie o wyszukiwanie rzekomych zarzutów i wyliczanie błędów gramatycznych a nawet ortograficznych. Że też my nigdy nie uszanujemy tych, których posiadamy. Pan Leszczyński (Zamry), był w pierszym akcie znakomitym księciem a w akcie czwartym i piątym wzniósł się do tragicznego nastroju; — wogóle rola ta była oddaną bardzo dobrze w myśl intencyi autora i z wielkiem przejęciem się. Pan Kotarbiński (Jozue) wystudyował, jak zwykle, każdy szczegół swej trudnej roli; w każdem niemal zdaniu, ruchu można było poznać sumienność inteligentnego artysty, lecz brakło uczucia, które starał się powściągnąć, nie pozwalał mu się porwać, zbyt wiele sztuki zabijało naturę,—a wszak sam p. Kotarbiński jest zwolennikiem realizmu w sztuce. P. Grzywiński (Mojżesz) nie zepsuł roli, ale też tylko nie zepsuł. Godną zaznaczenia i pochwały była gra p. Galasiewicza, który wywiązał się bardzo dobrze ze swej małej roli. Rola Fineesa jest dla p. Wolskiego nieodpowiednią; nie podołał jej też, mimo staranności, która widniała z gry jego,—przedewszystkiem nie był on surowym sędzią i człowiekiem czynu (jak to jest w dramacie), lecz człowiekiem miękkim, chytrym, który podstępnie zabija, nie umotywowawszy należycie w grze swego czynu. Panna Czaki (Melcha) była niesmaczną, nie umiała ani razu podnieść się do nastroju dramatycznego,—z siostry Noahy zrobiła karykaturę, która raziła słuchających. To samo możemy sumiennie powiedzieć o pannie Wisnowskiej (Sella), która pojęła swą rolę, jako zlepek rozmaitych niewiniątek z różnych komedyjek salonowych. O innych artystach, prócz o p. Strom-

feldzie, który ładnie odegrał małą rolę ojca Zamrego, wolimy zamilczeć, psuli oni fatalną deklamacyą i grą wrażenie dramatu.

Kiedyż dojdziemy do tego, by oryginalny dramat na naszej scenie był, co najmniej, sumiennie i przyzwoicie przedstawiony?!

Age.

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zaczynała je w imię koniecznego pragnienia wypowiedzenia tego co miała na sercu, przedstawienia stosunków ludzkich nie w świetle w jakiem przedstawiano je zwykle, ale w takiem w jakiem rzucały się jej w oczy, ztąd najprostsze z pozoru dostarczały jej wątku do scen pełnych niespodziewanych wrażeń, których tysiące powierzchownych badaczy dostrzedz nie zdołało.

Autorka zadzierżga węzeł najpowszedniejszej intrygi, pomiędzy zwyczajnemi ludźmi, zadzierżga go tak misternie, iż dla powierzchownego badacza węzeł ten niknie zagmatwany pobocznemi szczegółami. Jest tu zbytek materyału nagromadzonego bez wyboru, bogactwo myśli rzucanych garściami, natłok problematów wcielonych w różne indywidualności i wzajem zahaczonych o siebie. Pod tym natłokiem upada autorka, problemata się wikłają pod jej piórem i albo wcale nie dochodzą do żadnego rozwiązania, albo też rozwiązanie daje *fatum*, wskrzeszone w całej grozie mithów starożytnych, jak to ma miejscie w „Starym dworze w Świerszczowej" lub „Pogance".

„Kasia i Marynka" stanowią niedokończone fragmenta, takim jednak, tylko gwałtowniejszym, bardziej obrazowym fragmentem jest „Książka pamiątek", która nigdy końca nie miała, lub „Biała róża" która także skończoną nie jest.

„Kasia i Marynka" mniej jest zapewne obrobioną od tych utworów, jednakże jest z niemi blizko spokrewniona.

Autorka nie widząc jasnego wyjścia z trudności w które uwikłała swoich bohaterów, gdy pytania przez nich stawiane, domagały się wedle logiki powieściowej, odpowiedzi, której ona dać nie była w stanie, zniechęcona, przerwała opowiadanie i papiery rzuciła w głąb' biórka, a jakikolwiek sąd nasz będzie o wydawaniu pism pośmiertnych, na ten raz musimy być wdzięczni ręce, która je wydobyła z zapomnienia, bo w dzisiejszej literaturze książka ta stanowi zjawisko niezmiernie cenne, i jakby rodzaj kamertonu dający głębszy nastrój myśli.

Piękny obraz z ośmnastego wieku przedstawił Kraszewski w „Grzechach hetmańskich". Epokę tę szczególniej badał on i miłował, w niej zaczerpnął treści do szeregu znakomitych powieści, pomiędzy któremi dość wymienić cały cykl rozpoczynający się od „Hrabiny Cosel".

Widownią „Grzechów hetmańskich" jest Polska i owo rozłamanie pomiędzy obyczajem cudzoziemskim a surowemi pojęciami rodzinnemi, z których wypływało nieustanne źródło tragiczności.

Te dwa sprzeczne żywioły wikłały stosunki rodzinne i sercowe, a wreszcie towarzyskie stawiając obok siebie z gruntu odmienne zasady i nawyknienia, wywoływały starcia konieczne, bo co jedni stawiali najwyżej, drudzy lekceważyli, co dla jednych było świętością, służyło za igraszkę drugim, co jedni odpychali z pogardą, drudzy pożądali właśnie.

Na tym silnie dramatycznym gruncie oparł Kraszewski swą powieść „Grzechy hetmańskie". I te dwa światy, które wówczas nie mieszając się wzajem, istniały w Polsce obok siebie, wcielił w dwie postacie Hetmana Branickiego i Beaty Kiczgajlówny.

Hetman, lekkomyślny, przywykły do łatwych miłostek i łatwego zepsucia zalotnych kobiet, postąpił względem Beaty, jak względem każdej innej pięknej kobiety, którą spotkał na drodze swojej, a nie mogąc jej pozyskać, użył podstępu i przemocy.

Właściwym bohaterem powieści jest syn Hetmana i Beaty, Teodor, powieść bowiem rozpoczyna się w chwili gdy przybrany ojciec Teodora, Łowczyc Poklewski, który dał swoje nazwisko zrozpaczonej kobiecie i jej dziecku, po długich latach pracy, nędzy i walki z losem rozstaje się z tym światem.

Piękna niegdyś Beata, której rodzina się wyparła, a która nigdy nic od hetmana przyjąć nie chciała, ani dla siebie, ani dla swego jedynaka, pozostaje z nim sama na świecie.

Wspaniały jest obraz tej kobiety, skreślony mistrzowskiemi rysami: w niej to znalazły swój wyraz wstyd, duma i pobożność, owe tradycyjne cnoty naszego kraju. Całe życie pokutuje ona za winę, której była ofiarą, czysta dźwiga hańbę niezasłużoną i wzdryga się na myśl samą, ażeby od człowieka, co tak nikczemnie z nią postąpił, co złamał całe jej życie, cośkolwiek przyjąć mogła; staraniem jej jedynem jest, ażeby syn, któremu kosztem ciężkich ofiar dała najlepsze wychowanie, nie spotkał się nigdy z Hetmanem i nigdy także nic od niego nie przyjął.

Jest to jedyna kara, jaką mu wymierzyć może, i pomimo całej świętobliwości łatwo zrozumieć, iż jakkolwiek ubiera we własnych oczach tę zaciętość, powoduje ją jedynie chęć zemsty — zemsta jest może szlachetną, ale nie traci przez to swego istotnego charakteru.

Obok Beaty występuje niemniej dosadnemi rysami skreślona postać Hetmana. Człowiek w gruncie dobry, ale tak słaby, że jak trzcina gnie się za podmuchem namiętności lub poszeptów ludzkich.

Pomimo świetnego stanowiska, rozkoszy życia, Hetman, jak zwykle charaktery słabe, czuje się nieszczęśliwym, nie sprawił nigdy nic z tego, co zamierzał, nie rad był z siebie i drugich, życie jego spełzło marnie, rozkosze sprowadziły przesyt i nudę, bezdzietny nie miał komu przekazać swych bogactw ani nazwiska. Od czasu do czasu też spełniona krzywda, której nagrodzić nie mógł, przypominała się jego sumieniu, przychodził na myśl syn, którego przyznać nie mógł, którego nawet zobaczyć było mu trudno, a dopomódz w czemkolwiek niepodobna.

W obec dumnego serca Beaty kończyła się jego potęga, a dla Teodora historya jego urodzenia była tajemnicą. Hetman jednak im więcej posuwał się w lata, tem goręcej pragnął pojednania i przebaczenia tej kobiety. O wyposażonej kochance byłby dawno zapomniał, ale ta odrzucająca z pogardą wszelką pomoc, stała mu w myśli uparcie.

Kilka razy za sprawą doktora Clement, swego nadwornego lekarza, który był wtajemniczony w całą tę smutną historyą, próbował być użytecznym Teodorowi, ofiarował mu swoją protekcyą, ale młody człowiek, ostrzeżony przez matkę, że ojciec jego miał ciężką urazę do Hetmana, nie może z tej ofiary korzystac.

Sytuacya ta dramatyczna powikłanych tajemnie stosunków rodzinnych, stanowi najulubieńszy przedmiot dzisiejszej komedyi francuzkiej: Augier, Dumas, Sardou oparli na niej wiele sztuk swoich. Zwykle jednak położenie, podobne do tego, w jakiem jest Teodor, wyradza dwoiste następstwa: albo dziecko żywi nienawiść do nieznanego ojca za krzywdę matki, albo też poczuwa się do obowiązków względem nieznanego dawcy dni swoich, jakiekolwiek były jego winy.

(D. c. n.)

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Właściwie tytuł powyższy należałoby zmienić na „dzisiejszą epopeję", bowiem chcę dziś łaskawe czytelniczki roztoczyć przed waszemi oczyma obraz walk i bojów, chociażby ostatnich kilku tygodni.

Nie szukając daleko, weźmy np. przełożoną pensyonatu VI-klas. panią Natalię z Płużańskich Porazińską,—dama ta chcąc zyskać reklamę, powodzenie i łowić próżnych rodziców na lep francuzczyzny, ogłosiła złą polszczyzną anons, że zakład swój zamienia na francuzki;—cała prasa jednozgodnie potępiła ten kierunek wychowania. Po kilku tygodniach pani przełożona wezwała kilku przedstawicieli prasy (ani jednego pedagoga między zaproszonymi gośćmi np. pp. Dygasińskiego, Łagowskiego, Mieczyńskiego, Dunina i t. d. nie było) i przedstawiła im swój projekt. Znów odezwały się głosy potępiające ten krok, gdyż nie ma nic gorszego w pedagogice, jak uczenie przedmiotów to w obcym, to znów w krajowym języku, albo też powtarzanie tegoż samego przedmiotu raz w obcym to znów w swoim języku. Następnie dosyć już tych paplających francuzczyzną panien, które żyją bez poczucia obywatelskich i społecznych obowiązków. Ale pocóż nam tracić marnie czas i miejsce na udowodnienie, że najdroższym naszym skarbem jest język i że pani Płużańska z samowiedzą wprowadza wynarodowienie. Zdawałoby się, że wobec surowych odezwań się prasy, wobec tego, że nawet osobiście przychylni projekt ten ganili — nie ośmieli się pani Płużańska wprowadzić go w życie. Stało się inaczej; — oto mamy przed sobą ogłoszenie — oznajmiające wszem wobec i każdemu z osobna, że historya, geografia i nauki przyrodnicze będą wykładane czy powtarzane (ogłoszenie niezbyt jasne) w *języku francuzkim*. Ciekawa rzecz jak sobie poradzą pupilki tej pani, gdy służącą trzeba będzie wysłać na zakupno — kapusty, grochu, marchwi etc. — lub gdy na wsi trzeba będzie nazwać rośliny i drzewa po nazwisku — a one uczyły się tylko po francuzku, biedne dzieci!

Gdy głos prasy, oburzonej tem „liberum veto" pani przełożonej przebrzmiał bezskutecznie, — my nie mamy innej broni, tylko odwołanie się do światłych rodziców,—może ten środek poskutkuje!

Zapewne czytałyście szanowne czytelniczki opisy walk i bitew dawnych czasów, a chociażby tylko „Pamiętniki pana Paska", w których spotykamy się z chłopcem wołającym „czaru", „czaru" (zatrzymujemy dawną pisownię) i drażniącym przeciwników różnemi nieestetycznemi słowami, byle ich pobudzić do gniewu i walki, to samo kubek

w kubek powtarza się i dzisiaj — przed walną bitwą dziennikarską przeciwnicy na ochotnika wymyślają sobie.

Przedstawiono „Podkomorzynę” p. K. Zalewskiego; zganiło tę sztukę kilka dzienników, między niemi „Gazeta Polska” i „Kuryer Warszawski”. W odpowiedzi nazwał „Wiek” swych przeciwników „pismakami, którym brak nauki i estetycznego wykształcenia i t. d.” Na tę niemiłą admonicyą odpowiedziała „Gazeta Polska” wydrwieniem sztuki i autora; spór taki toczy się dalej...

Dr. Chmielowski napisał broszurę — wystąpił przeciw autorowi p. Adam Goraj, zatoczył śmigownicę wielkiego kalibru, strzelił—chybił a sam się osmalił i tych co chciał bronić. Po chwili puściła „Prawda” szmermel, przyznajemy że zgrabny i ładny, błyskotliwy i jaśniejący dowcipem — ale szmermel. W „Nowinach” wytoczono działo, nazwano go „Nieszlachetną bronią”, — zaś w dalszym ciągu wmieszała się do walki p. E. Orzeszkowa — a my z naszej strony stawiamy tylko skromne pytanie, czy tak marna zwierzyna warta tyle strzałów? Ktoś stojący na uboczu widząc te kłótnie i spory, sądziłby zapewne że tu idzie o pierwszorzędne kwestye... ustroju państwowego, rozwikłania stosunków społecznych lub ekonomicznych. Następnie mamy spór wcale niezabawny p. Jeleńskiego z „Gazetą Polską”... i o teatrzyk Alkazar.

Nie skończylibyśmy z wyliczaniem wszystkich jawnych i skrytych walk i bitew — i to u czoła narodu, w dziennikarstwie, około którego u nas musi się skupiać wszystko co dzielniejsze, inteligentniejsze w narodzie.

Ta chęć do walki objawia się w innych sferach; lada sprawa porusza natychmiast ducha polemicznego, przed forum opinii wytacza się cały szereg oskarżeń, obrony, duplik, tryplik etc., etc. Weźmy np. fotografów. Firma fotograficzna „Konrad”, złożona z długoletnich i wytrawnych pracowników na tem polu, otwiera swój zakład. Rywalizujący z „Konradem” właściciel zakładu niegdyś Mieczkowskiego, oskarża nowy zakład przed publicznością: następuje odpowiedź, dalej obrona i znów nowa odpowiedź. W całej tej walce słownej nikt nie zyska, chyba administracye pism; czyż nie lepiej wystąpić z czynem? Zdaje się, że tej zasady postanowiła się trzymać firma „Konrad”, gdyż zamiast dalszej polemiki, udoskonaliła wynalazek fotografowania w 150 części minuty, za pomocą pneumatycznego przyrządu. Oglądaliśmy raz obrazek p. t. „Cierpienia fotografa” z powodu nieustannej ruchliwości przedmiotu,—obecnie cierpienia te znikły, przynajmniej dla firmy „Konrada”, gdyż zdjęcie następuje nader szybko, jak to wspomnieliśmy, a fotografie wyścigów na Wiśle i Doliny szwajcarskiej udały się wybornie, mimo ruchliwości fal i tłumów publiczności.

Lecz dosyć już o tych walkach i sporach, które bardzo rzadko prowadzą do dodatnich rezultatów; dziś mamy do zaznaczenia fakt pocieszający, jeden z tych, które świadczą, że skromnemi środkami, pilnością, pracą a zwłaszcza miłością, można stwarzać istne cuda. Słowa te stosujemy do pani Wojcickiej, matki czterech synków, o których wychowanie się troszczy i sama osobiście radaby przyjść im w pomoc. Ktokolwiek uczył się geografii, ten nie zapomniał nigdy, ile to pracy, mozołu i żmudnej pamięciowej nauki kosztowała każda lekcya tego przedmiotu. I nie dziw. Dziecko nie może zrozumieć i zapamiętać oderwanych pojęć i słów, a atlasy nasze dotychczasowe w nader małej mierze umniejszają tę trudność, bowiem symbolizowanie nie przemawia do wyobraźni dziecka, nie utrwala się w pamięci, jak to czyni obrazowe przedstawienie. To też za granicą spotykamy po szkołach mapy geograficzne poglądowe, — pierwszą taką mapę próbną dla Galicyi zrobił pan Latynik, nauczyciel w Krakowie. Pani Wojcicka, niezależnie od innych, postanowiła uprościć swym synom naukę geografii, a że jest cierpliwą, wytrwałą, więc osiągnęła świetne rezultaty. Oto, w jaki sposób charakteryzuje jej mapę i działalność pan Adolf Dygasiński:

Kiedy przyszło nauczyć dzieci, co to jest *góra*, wyrysowała im *górę*, pokazała jej stok, wysokość, podstawę, wierzchołek. Toż samo robiła, gdy szło o *wybrzeże* morskie, *zatokę*, *wyspę*. W zoologiach wyszukiwała rysunków *zwierząt*, w botanikach *roślin* i t. d., szukała, szperała, rysowała, uczyła i doszła sama do metody. Niechże tu kto powie, iż geniusz wytrwałości mniej wart, aniżeli geniusz zdolności. Ale pani W. nietylko dobrze zrobiła dla swoich dzieci,—bo przerysowując nieustannie mapę Europy z jednego brulionu na drugi, w czwartym roku pedagogicznej pracy sporządziła nareszcie bardzo piękną mapę poglądową, gdzie się w *obrazach* znajduje wszystko, co Europa posiada ciekawego pod względem geograficznym. Na tej więc mapie znajdujemy i sandomierzanina lub podlasiaka w ich ubiorach, tatara, kirgiza, lapończyka; widzimy tu obrazy brzozy, jodły, buku, dębu, pomarańczy, oliwki, gdzie one rosną; nie są też pominięte obrazy miast portowych, fabrycznych; widnieją tu wspaniałe europejskie tamy, zakłady górnicze, a nawet uwzględnione zostały zwyczaje narodowe, przedstawiona jest np. walka byków na półwyspie Pirenejskim. Niemiecki bawar zrobiony jest w kuflu barwą właściwą, a reński Johannisberger w swojej długiej butelce. Z mapy tej nauczy się dziecko, jaką chatę buduje sobie lapończyk w lecie, a jaką w zimie. Złoto, gdzie ono się dobywa, zaznaczone jest barwą złotą, a srebro — srebrną. Góry pokryte wiecznym śniegiem, faliste wzgórkowate okolice, wulkany, gejsery islandzkie, malistrom norwegski, zorza północna, połów śledzi i wielorybów, wszystko to żywo i pięknie, o ile można, zaobrazowane, uderza oko widza, jakby wielka epopeja ludów europejskich, a raczej europejskiego życia wogóle. Pani W. nie pominęła i życia w głębi wód na dnie oceanów. Bo podczas gdy po gładkich powierzchniach ich suną parowce, pod powierzchnią widzisz wyrastające korale, widzisz nurka z całym jego przyrządem, ryba piła charakterystycznie napada na okręt, murena wije się wzdłuż południowej Italii, a na lodowej górze po oceanie północnym płynie spokojny, choć okrutny niedźwiedź biały. I potfisze, i foki, i wszelkie zwierzęta, oraz inne twory nie uszły uwagi pani W. Szkoda tylko, że wydanie takiej mapy nie może nastąpić u nas; znaczne koszta wydawnictwa każą mniemać, iż potrzeba na to lepszego niż u nas pojmowania wartości istotnej nauki. Chyba więc jaki Brockhaus zdobędzie się na wydanie mapy pani W. Ale jednak nadziei tracić nam nie jest wolno. Czyżby ciężka a użyteczna bezwarunkowa praca miała być zmarnowaną? — Wypada jeszcze dodać, iż pani W. zabiera się teraz do wykonania takiej samej karty poglądowej Królestwa Polskiego.

Przyjedzie — nie przyjedzie! To Hamletowskie pytanie zajmowało melomanów warszawskich w ostatnich dniach ubiegłego tygodnia, i jestem przekonany, że gdybyśmy należeli do rasy anglików i yankesów, byłyby się posypały zakłady. Nie potrzebujemy zdaje się dodawać, że tu idzie o pana Mierzwińskiego, który wystąpił ubiegłego tygodnia w „Hugonotach” i „le beau” oczarował wszystkich słuchaczów swym śpiewem. P. Mierzwiński, zdaniem znawców, jest dziś jedynym Wilhelmem Tellem w Europie — a Raula śpiewał w Warszawie znakomicie, tak pod względem głosu jak i gry. Tu słowa nie starczą, trzeba słuchać i podziwiać.

Nastrojony pięknym śpiewem artysty, pełen harmonii i niemal eolskich dźwięków, przyznaję się, że nie chciałem brać do ręki recenzyi naszych dzienników, by nie zepsuć sobie miłego wrażenia— ale w krwi mojej jest, niestety, cząstka krwi Ewy, więc powodowany ciekawością zajrzałem do gazet i oto jedna z nich porównywa śpiew p. Mierzwińskiego z głosem lwa na puszczy (chyba autor tego porównania nie słyszał nigdy ryku niedźwiedzia, wycia wilka lub ryku lwa w klatce, by zupełną harmonię równał z dzikiemi dźwiękami), druga gazeta pisze, że jak osioł w bajce namyśla się (podziwienia godna skromność i brak miłości własnej), inna szuka epitetów dodając do supperlatiwu słówko bardzo i t. d. Rzuciłem w kąt gazety i idę na drugi występ znakomitego śpiewaka polskiego, i wam radzę to samo zrobić szanowne czytelniczki.

Mówiąc o teatrze nie zaszkodzi wspomnieć o nowościach; więc w Belle-vue grano nową komedyę Blizińskiego „Rozbitki”, z której sprawozdanie zastrzegamy sobie u szanownych czytelniczek w następnym numerze. W Alhambrze odegrano komedyę „Genialni ludzie” p. M. Wołowskiego, która jak zwykle pierwsze utwory, razi brakiem scenery i żywej akcyi. Bohaterami są dwaj szlachcice marzący o wynalazkach mających ludzkość uszczęśliwić, a tymczasem tracą ojcowiznę. W Eldorado pusto i głucho,—zapowiadają jednak farsę na temat pobytu magnetyzera Donato i nowy dramat ludowy „Surdut i siermięga„ Wł. Gutowskiego z muzyką Zelisława.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Wśród tak często powtarzających się obecnie nieszczęśliwych wypadków pomieszania zmysłów, pocieszającą jest wiadomość, że Warszawa posiadać będzie nareszcie obszerny i urządzony podług tegoczesnych wymagań zakład dla chorych umysłowo cierpiących. W tym celu przybył do Warszawy dr. Baliński, b. profesor psychiatryi w Akademii medycznej w Petersburgu, wydelegowany przez ministeryum spraw wewnętrznych, w celu ostatecznego porozumienia się z warszawskiemi psychiatrami. Na posiedzeniu, na którem prócz inspektora szpitali cywilnych, zasiadali obecni w mieście psychiatrzy, uchwalono ażeby szpital pomieniony stanął po za obrębem miasta, pod Pruszkowem, we wsi Tworki. Dr. Baliński oznajmił, iż przeciwny jest wybudowaniu jednego wielkiego gmachu, jako nieodpowiadającego najnowszym wymaganiom, i radził urządzić kolonią składającą się z szeregu małych oddzielnych domków. Na zdanie to zgodzono się jednozgodnie. W szpitalu będzie miejsce na 400 chorych mężczyzn i kobiet. Dla 300 ma być urządzony zakład zamknięty, dla 100 jak kolonia. Nowy ten szpital, urządzony odpowiednio tegoczesnym wymaganiom, ułatwi zapewnie leczenie i powrót do normalnego stanu dotkniętych tem okropnem cierpieniem.

+ Słynny francuzki kaznodzieja O. Feliks, obrał sobie potęgę i znaczenie prasy peryodycznej za temat nauki wypowiedzianej w Paryżu, w kościele Sw. Magdaleny, a mającej na celu wydawanie dobrych a tanich książek, z której podajemy pare ustępów:

„Prasa peryodyczna jest potęgą odtwarzającą wszystkie objawy myśli, za pomocą broszur, książek i dzienników. Jest największą z potęg ziemskich, czy rozpatrywać ją będziemy w niej samej, czy w związku z innemi potęgami. Sama w sobie rozszerza potęgę słowa; myśli rządzą światem; roznosząc je do najdalszych krańców ziemi, prasa rozpowszechnia ruch idei, umacnia ich panowanie, uprzytomnia idee przeszłości, przekazuje następnym pokoleniom pojęcia obecnej chwili. Lud pozostaje dzisiaj w bezpośrednich stosunkach ze znakomitymi pisarzami, — którzy przemawiają do ogółu za pośrednictwem prasy. Prasa przyśpiesza krążenie życia umysłowego; rozpatrywana w stosunku do innych potęg, jest potężniejszą od wojny. Wojna broni ciał lub je zabija; prasa zaś panuje nad duszami, rozbudza miłość rodzinnej ziemi, jednoczy ludy, lub też podnieca je przeciw sobie. Prasa potężniejszą jest od przemysłu i daleko skuteczniej przyczynia się do sprowadzenia postępu lub upadku. Prasa prześciga potęgi duchowe; filozofia jest jej poddaną, gdyż „prasa wnosi i rozpowszechnia nowe myśli. Literatura jest jej niewolnicą, gdyż prasa wydaje sąd o książkach, potępia je lub rozszerza. Do niej odwołuje się wymowa i przez nią przemawia do milionów ludzi. Prasa może podkopywać wpływ cnoty i wpływem swoim zniweczyć wpływ wychowania i spaczyć edukacyą. Panuje ona nawet nad ofiarnością i poświęceniem, nad politykami i możnymi tego świata, nad prawodawstwami i konstytucyami, uważającemi się za nieśmiertelne. W końcu prasa potężniejszą jest nawet od religij które podkupuje. Jedyną mocniejszą od prasy potęgą jest religia prawdziwa, jej jednej prasa nie może obalić, gdyż w prawdziwej religii jest ręka Boża, która podtrzymuje Kościół. Lecz jakkolwiek prasa jest bezsilną do obalenia prawdziwego Kościoła, może przynieść, wyrządzić mu wiele szkody lub też wiele przynieść pożytku. Obowiązek ludzi religijnych jest więc wyraźnie nakreślony: powinni posługiwać się prasą peryodyczną, zwalczać złą a wszelkiemi siłami popierać dobrą, jako też dobre książki.

+ Wyszła z druku broszurka p. n. „Broń przeciwko germanizacyi ziemi słowiańskiej" p. Stanis Bończę Protaszewicza. Rzecz na czasie i nader pożądana, gdyby broń tę posiąść można po przeczytaniu broszurki; ale za ciężka to kwestya, aby ją mógł rozstrzygnąć choćby i tom cały.

Bronią taką, zdaniem autora, jest solidarne działanie inteligencyi i ludu polskiego, celem niedopuszczania Niemców do wykupienia od Polaków majątków ziemskich, a to przez utworzenie kredytu amortyzacyjnego, ułatwiającego nabycie włościanom i wogóle rolnikom posiadającym małe kapitały zbiorowego nabywania majątków od obywateli ziemskich, zniewolonych do sprzedania całości lub części swych posiadłości. Sprzedaż częściowa liczniejszych znajdzie nabywców, nie wymagając wielkich kapitałów, a nadto podniesie się wartość ziemi. Wieśniacy nasi przywiązani są do ziemi i chętnie ją nabywają.

W Królestwie Polskiem parcellacya skuteczne znalazła zastosowanie po r. 1864 i jej zawdzięczyć należy podniesienie wartości ziemi i ochronienie kraju od nawału niemieckich przybyszów. W Czechach, rozdrobnienie własności tyle zdziałało, iż pomimo kilkowiekowej germanizacyi, rdzeń narodu pozostał słowiańskim i dziś coraz silniej rozwija się na tej drodze. System parcellacyi zapewni podwójną korzyść: sprzedającemu da sposobność korzystniejszej sprzedaży, współrodakom rolnikom otworzy widoki dorobku w kraju, a tem samem odstręczy od wychodźtwa.—Nie zdaje nam się, aby rozdrobnienie własności takie zapewniało korzyści i zdołało ustrzedz od germanizacyi.

+ Francuzkie towarzystwo p. n. „Caisse générale des familles" obmyśliło nowy rodzaj ubezpieczeń, nigdzie dotąd nie istniejący, przeciw wszelkiego rodzaju słabościom i chorobom. Choroby zarówno dotykają wszystkich, czy to robotników płatnych dziennie, czy urzędników pobierających pensye miesięczne, czy też artystów, adwokatów, doktorów, kupców, i t. p., ale nie wszystkim jednakowe przynoszą szkody i straty, i dlatego też wspomniane towarzystwo zaprowadza rozmaite kombinacye ubezpieczeń. I tak można się ubezpieczyć przeciw wszelkim następstwom dłuższej słabości lub ciężkich uszkodzeń ciała, z zapewnieniem sobie stałej płacy, w razie niezdolności do pracy, albo do końca życia, albo do wyzdrowienia. Robotnik i każdy z członków, utracający zarobek z powodu choroby, może się zabezpieczyć w sposób zapewniający mu codzienną wypłatę pewnej oznaczonej kwoty, przez cały czas trwania słabości lub niemożności zarabiania na chleb, z powodu jakiegobądź nieszczęśliwego wypadku. Nie znamy bliższych warunków i wysokości opłaty, ale jest nie zbyt wygórowaną a zatem dostępną dla żyjących z pracy. Przyznać trzeba, że jest to pomysł bardzo dobry i może nader ważne oddać usługi klasie pracującej, której byt zależy głównie od stanu zdrowia.

+ W wybornie napisanej korespondencyi z Moskwy do „Gazety Polskiej" Nr. 166 czytamy między innemi: „Moskiewska Gazeta", która dawno już straszyła bezbożników — za niewiarę i bałwochwalczą cześć Beliala Zachodu — massą kar niebieskich, a która, jak widać, posiada w gwiaździstych sferach dobrze powiadomionych reporterów, nie omieszkała zawiadomić i ogłosić moskiewskiemu urbi et orbi, że w listopadzie nastąpi koniec świata, podług przepowiedni wygłoszonej przed paruset laty przez włoskiego astrologa, Aretino. Ciekawa ta operacya ma trwać dni szesnaście. Wśród najrozmaitszych kataklizmów, zapadną w podziemia góry i lasy, ryby posną, wszelkie zwierzęta pozdychają — a nareszcie przed końcem końców ludzie utracą mowę. Otóż prorocy z Naniętnego bulwaru (Strastnoho) nie dopatrzyli się widać, iż proroctwo to w niektórych szczegółach znacznie przed oznaczonym czasem spełniać się zaczęło, tylko że cząstkowo i nieco w innych formach. Ot np. lasy dawno już zapadać zaczęły — chociaż nie w podziemia, ale w kieszeń żydowskich i niemieckich spekulantów, którzy je na gotówkę przemieniają. Ryby tak wyłowiono i wyniszczono, że mimo starań towarzystw rozkrzewianie ich na celu mających, lada płotka lub piskorz dochodzi ceny lukullusowej mureny. Że zwierza być nie może gdzie lasy wytrzebiono, o tem nikt nie wątpi, ale nawet i hodowane bydło tak przez zarazy i głód uprzątnięte, że niedługo czekając, społeczeństwo zmuszone będzie poprzestać na kartoflach i marchwi, i mimowolnie przyjmie ustawy wegetaryjanów. Co zaś do mowy ludzkiej, Szczedryn powiada, że jeźli nie nastaną lepsze czasy, ludzie przestaną używać właściwej sobie mowy, a zaczną ryczeć." Przyznać trzeba, że komentarz wcale dowcipny.

+ Przed dwoma miesiącami silna burza z grzmotami i piorunami przeciągała przez hrabstwo Dumfrieschire, w Anglii. Niedaleko Tyruon piorun zabił człowieka w otwartem polu. Przez cały czas burzy termometr trzymał się na 17° R. Podczas gdy grzmoty i huk gromów najgłośniej się rozległy, zięby śpiewały nieustannie, a świst kosów przeplatał się z grzmotami. Deszcz był umiarkowany; powietrze tchnące wonią i pełne owadów, jaskułki zwijały się skrzętnie szybując nad wodą przy świetle błyskawic. Za to przeciwnie, zaskoczone burzą konie na polach, objawiały niezwykły przestrach.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z kolorowego batystu. W krótki bluzkowy stanik, w suto upinaną tunikę i w dwie plisowane falbany u dołu wszyte są koronkowe wstawki. Kokardy z kolorowej atlasowej wstążki. Kapelusz słomkowy przysłonięty bufkami z crèpe-lisse i otoczony wianeczkiem z kwiatów.

Ubranie małej dziewczynki. Sukieneczka z satynki w kolorowe kwiatki, ma plisowane falbanki z materyału gładkiego, oszyte plisą odmiennego koloru. Kołnierz, mankiety i środkowy pas w szarfie jest z tego co oszycie falban materyału.

Suknia z satynki. Do satynki gładkiej jednokolorowej dane są na spódnicy, pod plisowanemi falbankami i przy staniku, szlaki w jasny kolorowy deseń. Szarfa opasująca baskinę stanika jest z atłasowej wstążki. Kapelusz słomkowy z bukietem róż.

Zawiadomienia.

KRÓLOWIE POLSCY, wydanie dla młodzieży, podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, w ozdobnie oprawnej książeczce, zawierającej 43 portrety litografowane z tekstem objaśniającym ważniejsze daty i wypadki historyczne, po cenie rs. 2 kop. 50; dla prenumeratorów Tygodnika Mód lub Przyjaciela Dzieci mogą być przesłane franco, a nadesłaniem powyższej kwoty do Administracyi Tygodnika Mód, ulica Chmielna Nr. 20.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

KAZIO, powieść dla młodzieży, przez Walerya Marrené, do nabycia w redakcyi Przyjaciela Dzieci, oraz we wszystkich księgarniach, cena kop. 35.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 4 Августа 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 34 r. 1881.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dokończenie.)

Jechały tak dość długo ani jednem słówkiem nie przerywając milczenia, pogrążone w głębokim smutku i boleści. Raz tylko Renata przemówiła słodkim i drżącym głosem:

— Biedny Alfred!... biedny przyjaciel!... taki był dobry i szlachetny!... tak godzien lepszego losu.. Ale teraz już pewnie szczęśliwy... Bóg wynagrodzi mu, że zginął w tak świętej sprawie!

— Umarł jak męczennik, odrzekła poważnie Sylwia; tylko wybranym dane jest, że młodość i życie mogą ponieść w ofierze dla wzniosłej a nieszczęśliwej sprawy.

Mówiąc te słowa, Sylwia otrząsnęła się z bolesnego odrętwienia w jakiem dotąd była pogrążona, i spostrzegłszy że machinalnie ciągle w ręku trzymała pończochę, schowała ją do kieszeni, wyjmując natomiast różaniec. Renata położyła ręce na rozłożonej na kolanach depeszy i zaczęła modlić się cicho — za zmarłego i za tych których osierocił.

Gdy powóz stanął na dziedzińcu w Rouërie, wybiegła zapłakana Genowefa, oznajmiając iż po przeczytaniu depeszy, pan Mercier padł bezprzytomny na posadzkę.

— Ten pułkownik to jakiś gbur bez serca, mówiła, tego nawet pojąć nie umie, że starego ojca należy oszczędzać, wołała płacząc głośno. Do tej chwili nie można było pana otrzeźwić, czekamy na doktora po którego zaraz posłałam. Skoro panna de la Trémarais raczyła przybyć, to może będzie mogła wskazać jakieś środki.

Sylwia czyniła co tylko było w jej mocy, ale pan Mercier nie odzyskiwał przytomności; przybyły doktor oznajmił że prawie nie ma nadziei. Już oddawna pan Mercier zagrożony był atakiem apoplektycznym, w podobnych razach tak gwałtowne wzruszenie zazwyczaj zgubne wywołuje następstwa. Po upływie godziny, w ciągu której lekarz uciekał się do wszelkich możliwych środków, chory otworzył nareszcie oczy, powiódł wzrokiem do koła, zdawał się odzyskiwać przytomność, wpatrzył się w portret syna zawieszony nad łóżkiem, drgnął i od czasu do czasu grube łzy spadały zwolna na zwiędłe jego policzki, wczoraj jeszcze pełne i rumiane a teraz pożółkłe i zapadłe. Niekiedy powieki jego podnosiły się, ukazując już to suchą i rozpłomienioną, już to wilgotną i zamgloną źrenicę, i w takich chwilach przytomności wzrok jego zatrzymał się na twarzy Renaty; zadrżał silnie, i rysy jego pokryły się silniejszą jeszcze śmiertelną bladością.

Jednak ku wieczorowi, doktor oznajmił, że prawdopodobnie chory przebędzie noc dość spokojniej, i oddalił się przyrzekając swą wizytę nazajutrz bardzo rano. Renata i ciotka Sylwia zaczęły wtenczas namawiać jedna drugą aby wróciły czuwać nad małym Rene. Sylwia przedstawiała właśnie, że mając więcej doświadczenia, może być użyteczniejszą przy chorym, gdy starzec który już przez tyle godzin nie wyrzekł jednego słowa, otworzył oczy, zaczął poruszać ustami, i zwrócił na Renatę błagające spojrzenie. Pochyliła się natychmiast ku niemu i zapytała czy nie potrzebuje czego, czy nie życzy sobie aby przywołano doktora lub kogoś z przyjaciół?

Chory poruszał tylko z początku ustami niezdolny wymówić ani słowa, i dopiero po niejakim czasie odzyskał głos, i rzekł cicho, prawie niezrozumiale:

— Zostań!

Spojrzenie błagające i niecierpliwe zarazem uzupełniało tę prośbę. Wtenczas Renata rzekła zwracając się do Sylwii.

— Widzisz sama, droga cіociu, że pan Mercier życzy sobie abym pozostała przy nim, wróć więc do małego Rene, a jutro rano przyjdziesz znów do la Rouërie.

— Jutro! szepnął znów chory wstrząsając głową.

— Skoro chce tego, rzekła Sylwia wstając, a potem dodała cicho pochylając się ku siostrzenicy. Jeźli będzie gorzej przyślij po mnie chećby w nocy.

Następnie zbliżyła się do łóżka i rzekła ściskając rękę chorego:

— Do jutra, mój biedny panie Mercier... Nie zapominaj że Bóg jest naszym panem i ojcem, że życie ludzkie szybko przemija, a niebo dla każdego otwarte... Niech cię pocieszy ta myśl, biedny ojcze, że Alfred był bohaterem... męczennikiem i że Bóg miłosierny wynagrodzi go wiekuistem szczęściem.

Odeszła, a niepewne i przyćmione spojrzenie chorego odprowadziło ją aż do drzwi, a następnie szepnął zaledwie dosłyszanym głosem:

— Niebo otwarte dla wszystkich... powiedziałaś panno Sylwio... do widzenia!

Renata usiadła znów przy łóżku chorego, ujęła jego drżącą zimną rękę, i chciała coś przemówić, ale łzy głos jej stłumiły. Starzec patrzył na nią z jakimś gorzkim, szyderczym uśmiechem, który jednak po niejakim czasie zamienił się w smutny. Nakoniec panna de Plouernel zapanowała nad sobą i z ust jej popłynęły wyrazy pełne serdecznego współczucia, któremi usiłowała pocieszyć nieszczęśliwego ojca, jak niegdyś pocieszyła Gwidona po śmierci babki. Nie umiemy powiedzieć co wtenczas mówiła o śmierci i o Bogu, o niebie i o grobie, bo ona sama nie mogła nigdy przypomnieć tego sobie dokładnie. Zapewnie błogosławiona dusza młodego męczennika musiała przemawiać przez jej usta, bo spojrzenie starca rozjaśniało się stopniowo, tracąc wyraz gorzkiej rozpaczy, a w końcu ręka jego spoczywająca dotąd nieruchomie w jej dłoni, uścisnęła jej rękę.

— Chciałbym... aby przywołano... księdza, szepnął tonem wyrażającym rezygnacyą i obawę.

Renata ścisnęła go za rękę i wyszła.

— Proboszcz przyszedł właśnie odwiedzić pana, i czeka na dole. Pragnie widzieć pana, a nadewszystko pocieszyć, rzekła wracając w kilka minut później.

— Niech wejdzie, odpowiedział chory. Skoro... skoro pojednam się z Bogiem, będę starał się pojednać z tobą... W pierwszej chwili miałem wielki żal do ciebie... ale teraz otworzyły mi się oczy, przypominam sobie wszystko... O! tak... Bóg jest sprawiedliwym, a ty... jesteś szlachetną istotą!

Zdziwiona Renata zwróciła na chorego pytające spojrzenie, ale proboszcz wszedł w tej chwili, i zdumienie jej wzmogło się jeszcze, gdy starzec unosząc z trudnością głowę, odezwał się do księdza stłumionym i przerywanym głosem:

— Księże proboszczu, powiedz mi gdzie to napisane... że Bóg karze dzieci za winy ojców... aż... aż do trzeciego pokolenia?... Słyszałem to kiedyś, ale zapomniałem o tem aż do dnia dzisiejszego... Trudno się temu dziwić.. już od pięćdziesięciu lat nie miałem w ręku Pisma Świętego.

Panna de Plouernel słysząc te słowa zbladła i zadrżała, ale że proboszcz w tej chwili usiadł przy łożu chorego, wyszła z pokoju wzruszona, polecając chorego miłosierdziu Boga.

Więcej niż w godzinę potem, proboszcz wszedł do pokoju w którym modliła się Renata.

— Nasz chory zasnął, rzekł do niej. Zawsze grozi mu wielkie niebezpieczeństwo; ale śpi dość spokojnie i ma lżejszy oddech. Po przebudzeniu przywoła cię do siebie, moje dziecię... Biedny ten człowiek chce pomówić z tobą o rzeczach ważnych, nieznanych lub dawno zapomnianych. Renato, drogie moje dziecię, pamiętaj że Bóg jest miłosiernym dla żałujących grzeszników, bądź wspaniałomyślną, bądź pobłażliwą.

— Ja? rzekła zadziwiona, powstając. Ja? Ale czemże zawinił względem mnie? Czy prędzej ja nie powinnabym prosić o przebaczenie tego biednego ojca, który sądzi zapewnie... o mój Boże!.. byłożby tak w istocie?.. że jestem przyczyną śmierci jego syna!

— W każdym razie trzeba będzie wspólnego przebaczenia, zobopólnej i chrześciańskiej pobłażliwości, odpowiedział proboszcz. Raz jeszcze powtarzam, bądź wspaniałomyślną, moje dziecię, staraj się stłumić żal i oburzenie, aby ten nieszczęśliwy starzec mógł skonać spokojnie.

Po tych słowach proboszcz wyszedł, a Renata podniosła grubą portyerę i weszła cicho na palcach do pokoju chorego. Usiadła przy jego łóżku niespokojna, wzruszona, wpatrując się z żywem niepokojem w to blade, pomarszczone czoło, w te rysy sztywniejące już pod tchnieniem zbliżającej się śmierci.

— Czy się przebudzi jeszcze? czy będzie mógł mówić?... Co mi chce powiedzieć? czem względem mnie zawinił, zadawała sobie pytania, przyciskając rękę do silnie bijącego serca.

Nie czekała długo. Starzec zadrżał, nagle otworzył oczy, zacisnął z przerażeniem ręce pokryte kroplami zimnego potu.

— Krew... krew Alfreda! szepnął. Widzę jak płynie... tak, spływa aż na ręce ojca!

Renata pochylona nad łóżkiem, uchwyciła rękę starca. Odwrócił się, spostrzegł ją i oprzytomniał, jakby obecność jedynej osoby, względem której miał jeszcze jakiś obowiązek do spełnienia, przywróciła mu przytomność umysłu.

— Ah! to ty Renato?... odezwał się z takim wyrazem jak gdyby mu to przyniosło jakąś ulgą. Proboszcz zapewnił mnie że wrócisz, że jesteś dobrą chrześcianką!... Cieszy mnie to że widzę cię jeszcze... Chcę ci coś wyznać... Ale nie mam nadziei abyś mi mogła przebaczyć.

— Jakto! mój dobry panie Mercier, zawołała Renata ze łzami, wszakże przeciwnie to ja powinnabym prosić cię o przebaczenie, o błogosławieństwo. Jakiż żal mogłabym mieć do ciebie?... Okazywałeś mi zawsze wiele życzliwości, byłeś zawsze dla mnie dobrym.

— O! nie. Gdybyś wiedziała!... wyrządziłem ci wielką krzywdę... A jeźli mi nie przebaczysz, i Bóg także nie zechce mi przebaczyć... Jego obraziłem tylko, a ciebie... ciebie zgubiłem...

— To być nie może. Musi to być tylko jakieś gorączkowe przywidzenie, rzekła Renata klękając przy łóżku i spoglądając z przerażeniem na starca. Niczem przeciwko mnie nie zawiniłeś nigdy. Nie wydarłeś mi dobrej sławy, ani wiary, ani szczęścia.

— Uczyniłem coś gorszego jeszcze, szepnął umierający, tak, cóś gorszego!... Domyśl się... domyśl... tak mi trudno powiedzieć!

Widząc że panna de Plouernel wpatruje się tylko w niego z wyrazem głębokiego zdumienia, dodał drżącym głosem:

— Nie możesz się domyślić... Otóż wyrządziłem ci... największą krzywdę... jaką można wyrządzić komuś nie mającemu dzieci... Z mojej to winy nie miałaś posagu... Ukradłem twoje pieniądze... Czy mi to przebaczysz, panno Renato?

— Ale to być nie może! powtórzyła drżąca Renata. Staraj się zebrać myśli, mój dobry panie Mercier. Wszakże ojciec mój pozostawił długi tak...

— O! tak... pozostawił... ale nie same tylko długi!.... szepnął umierający z dziwnem jakiemś spojrzeniem, na pół błędnem, na pół szyderskiem, w którem mozna było dostrzedz trochę tej podstępnej dobroduszności, malującej się dawniej w oczach chytrego notaryusza. Nie byłby zupełnie zrujnowanym... zostawiłby wam znaczną część majątku, może nawet zamek, gdyby... gdyby nieszczęśliwy, którego widzisz tu przed sobą, nie był jego notaryuszem... Miałem dwoje dzieci... takich ślicznych dzieci!... chciałem zapewnić im los świetny. Wbiłem to sobie w głowę że moja Melina musi być margrabiną... A dobra były tak rozległe... tak piękne... i tak łatwo można je było zagarnąć! Nie miałem jednak nigdy zamiaru pozbawić majątku pana Gwidona... i oddałem mu go też rzeczywiście. Co do małej Renaty, myślałem, może się obyć bez posagu... wstąpi do klasztoru... Widzisz więc że ciężko zawiniłem przeciwko tobie, ale też zawiodły mnie moje wyrachowania, i srogą poniosłem karę... Syn mój umarł... a ty przyczyniłaś się do jego śmierci... niweczącej wszystkie moje marzenia!

— I teraz jeszcze nie rozumiem pana, odezwała się Renata. Ojciec mój pozostawił rzeczywiście długi; babka wspominała mi o tem często. Nie mogłeś skłamać że istnieją, ani też nie uznać istniejących.

— Ale, szepnął umierający z bolesnem wysileniem, mogłem jako prawnik zagmatwać rachunki... powiększyć koszta... podstawić wierzytelności, podnabywać za niższą cenę, ale na swą korzyść, długi hypoteczne, odstręczyć wszystkich od nabycia dóbr, i kupić je za bezcen, z krzywdą sierot... Tak właśnie uczyniłem... i słusznie można to nazwać... kradzieżą!...

Starzec umilkł nagle jakby przerażony swem własnem wyznaniem. Renata przypomniała sobie teraz różne drobne szczegóły, które dozwoliły rozważnej i przenikliwej Sylwii domyślić się po części planów notaryusza, i przerażona tem co usłyszała, pochyliła w milczeniu głowę. Chory wziął to za objaw oburzenia i niechęci; poruszył się niespokojnie na łóżku, złożył ręce i wyciągając je z trudnością do Renaty, wyrzekł z przygłuszonym jękiem:

— Widzę że nie otrzymam twego przebaczenia, a jednak ciebie tylko skrzywdziłem i ciebie tylko potrzebuję błagać o miłosierdzie. Bratu twemu zwróciłem już wszystko, a teraz po śmierci Alfreda odziedziczy cały mój majątek. Co do twej babki, ta jeżeli pragnęła lepszego bytu, to jedynie dla ciebie, sama poprzestałaby chętnie na tem co jej pozostawiłem... Zresztą jest już w niebie, a dusze błogosławione, wolne od wszelkich cierpień, łatwo przebaczają... Ale tobie wydarłem wszystko; z mojej winy znosiłaś niedostatek, żyłaś samotna, zapomniana w najpiękniejszej porze życia!

— Wszystko to minęło już dawno i zatarło się w mej pamięci. Przebaczam panu wszelkie względem mnie przewinienia, odezwała się łagodnie Renata, w której widok udręczeń umierającego starca wzbudził szczere politowanie.

— W dziecinnych latach było to jeszcze mniej dotkliwem, mówił dalej z boleścią starzec, ale nadeszła wiosna życia, i ty, panno Renato, pomimo twego nazwiska i twej piękności, żyłaś nieznana, pozbawiona wszelkich zabaw i przyjemności, bo świat nie zwykł uśmiechać się choćby do najpiękniejszych ale ubogich panien, i ponieważ ja skazując cię na ubóstwo... skazałem cię także na samotność i opuszczenie... O! tak, wydarłem ci swobodę i szczęście młodości!... Bóg, przed którego sądem stanę wkrótce nakazuje mi wyznać ci to wszystko... Ty także jesteś moim sędzią... czy zdołasz mi przebaczyć?

— Przebaczam... Nie wiele na tem cierpiałam. Żyłam samotnie ale w rodzinnych moich stronach, wśród drogich mi osób... Uspokój się, panie Mercier, miej ufność w miłosierdziu Bożem.

— Wydarłem ci także... może coś droższego jeszcze, odezwał się znów starzec gnębiony wyrzutami sumienia. Byłabyś mogła być kochaną, ty, która posiadałaś wszystko prócz pieniędzy... Wiesz jak cię kochał mój Alfred... Ale był jeszcze ktoś inny: ten młody Paryżanin, Gaston de Sarrans Zasięgał ode mnie wiadomości co do twego majątkowego położenia. Był to rozsądny i praktyczny chłopiec, i chciał posagu... Nie wymagał tak wiele... gdybyś miała ośmdziesiąt tysięcy franków, byłby na tem poprzestał!... Posiadałabyś je gdybym ci ich nie wydarł... Byłabyś dziś żoną jego, szczęśliwą, kochaną. Podobał ci się, więc nie odmówiłabyś mu swej ręki. Mój biedny Alfred powiedział do mnie przed odjazdem: Renata nie pójdzie nigdy za mąż, bo nigdy o nim nie zapomni... Wiedziałem że nie mogę mieć żadnej nadziei... Takie to są moje przewinienia względem ciebie, panno Renato; wydzierając ci majątek pozbawiłem cię wszystkiego na świecie; pozbawiłem cię szczęścia, nadziei, przyszłości, domowego ogniska.

— Nic nie pragnę... i... i niczego nie żałuję. Uspokój się, panie Mercier... przebaczam ci wszystko! zawołała drżąca ze wzruszenia Renata. Pochyliła głowę i łzy jej zrosiły rękę starca.

Starzec otworzył szeroko oczy, i spojrzenie jego wyrażające zdumienie i powątpiewanie, zatrzymało się na twarzy Renaty.

— Czy to być może? odezwał się nakoniec. O! panno Renato, posiadasz prawdziwie wzniosłą i szlachetną duszę, jesteś prawdziwą chrześcianką. Przebaczasz mnie!... mnie który pozbawiłem cię szczęścia, zniweczyłem nawet twoją przyszłość!

— Bóg to widział i zezwolił na to... Niech się dzieje święta Jego wola! odpowiedziała Renata, pochylając pokornie głowę.

— Ale, jeźli, jak powiadasz, Bóg zezwolił na to, nie przebaczył mi jednak, bo mój Alfred nie żyje... Był to mój skarb najdroższy, i Opatrzność odebrała mi go chcąc mnie ukarać... Niestety! zasłużyłem na to... Wszakże ja także wydarłem ich skarb biednym, bezbronnym istotom... Rozchwiały się wszystkie moje marzenia. Dwadzieścia lat pracowałem chcąc zbudować świetny los dla mego syna... Cóż mi dziś pozostało? nic... nic prócz kilku kropli krwi i garstki popiołu... O! panno Renato, wydarłem ci szczęście... Aby się stało zadość sprawiedliwości Bożej, mój syn musiał oddać życie... Biedny mój Alfred!... Może i moja śliczna margrabina, moja droga Lineta umrze także!... W takim razie przybędzie niebu jeden anioł i jeden męczennik więcej... Czy ja nędzny grzesznik zobaczę się tam kiedyś z nimi?...

— Nieszczęśliwy ojcze, rzekła Renata z wyrazem współczucia, Bóg jest także ojcem; zaufaj Jego wszechmocności, miej nadzieję w Jego nieskończonem miłosierdziu. Zechce uwzględnić twoją miłość ojcowską, a śmierć Alfreda wyjedna ci zbawienie. Zobaczysz twoje dzieci.

Gdy tak rozmawiali, jutrzenka ukazała się na niebie i pierwszy promyk dziennego światła przedarł się przez firanki i łagodnym swym blaskiem oświecił portrety Alfreda i Meliny wiszące naprzeciwko łóżka. Umierający podniósł oczy i zwrócił je na piękne twarze swych dzieci które zdawały się ożywiać pod jego spojrzeniem i uśmiechać do niego.

Jednocześnie zabrzmiał w powietrzu głos kościelnego dzwonu, a na drzewie pod oknem zaświergotał jakiś ptaszek. Ten dźwięk dzwonu i śpiew ptaka dochodzący niewyraźnie do osłabionego słuchu starca, wydawał mu się jakimś głosem z nieba, obiecującym przebaczenie, gdy znów uśmiech i spojrzenia ukochanych dzieci mówiły mu o jakiemś nieznanem szczęściu, nieskończonej miłości i błogiej nadziei.

Jakaś otucha wstąpiła w serce grzesznika: zaczynał wierzyć że mu Bóg przebaczy. Renata ciągle trzymała go za rękę, i zdawało mu się że prócz tych dochodzących do niego głosów z nieba, prócz tych drogich mu twarzy, jest przy nim jeszcze anioł wskazujący mu drogę do nieba.

— Wierzę, mój Boże! wierzę. Ten anioł mi przebaczył... ten anioł uchronił duszę moją od potępienia! wyrzekł gasnącym już głosem, i głowa opadła mu na poduszki.

Zaczęło się konanie; chory stracił mowę, ale zamglony już wzrok jego zatrzymał się jeszcze z gorącą wiarą na wizerunku Zbawiciela, potem spoczął z wyrazem czułości na portretach dzieci, a następnie przeszedł na twarz modlącej się Renaty, i pozostał już tam aż do ostatniej chwili.

W kilka godzin później zaczęto już czynić przygotowania do wspaniałego pogrzebu pana Mercier de la Rouërie, byłego notaryusza, kapitana gwardyi narodowej, radcy jeneralnego i właściciela dóbr.

W tydzień później, proboszcz z Kergoat oddał pannie de Plouernel krótki list podyktowany mu przez zmarłego po ostatniej spowiedzi. Pan Mercier oskarżał się w nim o podstępne i nieuczciwe działanie, mocą którego pozbawił pannę de Plouernel majątku, i aby jej to wynagrodzić, upoważniał ją do podniesienia z pozostałego po nim spadku sumy wynoszącej dwieście tysięcy franków, która jej zapewni byt niezależny, i może dopomódz do zawarcia korzystnego małżeństwa.

Renata przeczytała śpiesznie ten list z po za grobu, wstrząsnęła głową ze smętnym uśmiechem, westchnęła i rzuciła list w ogień. Na cóż jej się mógł zdać posag teraz gdy Alfred już nie żył, a Gaston odjechał? Wszakże jej kochany Gwidon był dla niej tak szczodrym, tak przewidującym wszystkie jej życzenia; tak mało potrzebowała dla siebie,—trochę pieniędzy dla ubogich, i nic więcej... Nie chciała zdradzać gorzkich i bolesnych tajemnic przeszłości nie chciała okryć niesławą pamięci ojca Meliny, dziadka Renego! Obowiązek i serce Renaty wskazywały jej jak ma postąpić, i postano-

wiła być im posłuszną; przyrzekła występnemu przy śmiertelnem jego łożu że mu przebaczy, i przebaczyła, teraz zaś leżącemu już w grobie przyrzekła milczenie, i dotrzyma mu słowa.

Jak tylko oddała ojcu ostatnią posługę, pojechała do Nicei pocieszyć pozostałą córkę. Melina nie wiedziała jeszcze jakie spadły na nią nieszczęścia. Po przyjściu na świat drugiego jej dziecięcia, malutkiej Sylwii, stan jej zdrowia pogorszył się znacznie. Jednak Opatrzność nie chciała zsyłać nowych nieszczęść na tę i tak już ciężko doświadczoną rodzinę, i po pewnym przeciągu czasu, młoda matka odzyskała siły i zdrowie. Dowiedziała się nakoniec o śmierci ojca i brata, płakała długo i gorzko, i łzy jej obeschły dopiero nad kolebką trzeciego dziecięcia.

Łagodne powietrze Nicei wpłynęło zbawiennie na zdrowie Meliny. Pobyt w rodzinnych stronach przestał już być dla niej niebezpiecznym; oczy jej odzyskały swój blask dawny, na twarzyczkę wrócił świeży rumieniec.

Dziś młoda margrabina de Plouernel, ubóstwiana prawie przez męża, kochana przez swoich, szanowana przez wszystkich, matka trojga ślicznych dzieci: Renego, Sylwii i drugiej chrzestnej córki ciotki Sylwii, maleńkiej Maryi, nie ma już czego żądać wyjąwszy aby jej szczęście było trwałem, ani też czego żałować prócz swych drogich zmarłych. Obok niej Gwidon czuje się zupełnie szczęśliwym, a charakter jego rozwija się i mężnieje. Ciotka Sylwia zawsze czynna i żwawa, zachodzi w podeszłe lata.

Renata nie zmieniła się wcale: twarz jej pozostała równie piękną i młodą, a jej serce równie czułem jak dawniej, ale jest to czułość spokojna, głęboka, prawdziwie chrześciańska, wolna od niepokoju, słabości i złudzeń, zdolna do wszelkich poświęceń. Koło niej ludzie wiodą burzliwe, niespokojne życie, i dziwią się niekiedy że panna de Plouernel piękna, niezależna, pochodząca z tak znakomitej rodziny skończyła już dwadzieścia ośm lat; odrzuciła kilka partyj: panna de la Plouernel nie chce pójść za mąż.

— Sądzę, mówi niekiedy Renata z miłym uśmiechem na pięknych ustach, że stare panny są także potrzebne na świecie. One utrzymują związek między chatą i pałacem, między ubogim i bogatym, między cierpiącymi i szczęśliwymi. Jednym z nich brak czasu, drugim śmiałości! Zresztą, droga ciociu Sylwio, dla tego że jesteś starą panną zawdzięczam ci tyle troskliwych starań, pieszczot, pończoszek zrobionych twoją ręką, lekcyj gramatyki udzielanych z największą cierpliwością i słoików z konfiturami! Gdybyś nie była z nami, któż prócz babki byłby mnie otoczył tak prawdziwie macierzyńską opieką? Otóż pragnę aby dzieci Gwidona były również jak ja szczęśliwe. Chcę być dla nich tem czem ty byłaś dla mnie, droga ciociu, druga moja matko!

Dzieci Gwidona de Plouernel są rzeczywiście bardzo szczęśliwe. Od ojca otrzymały piękne nazwisko, pańską i pełną wdzięku powierzchowność; od matki śliczne, prawdziwie anielskie oczy, i dobre, czyste serca; a o ile nam się zdaje, Renata przeleje w nich swą duszę. Ale czy sama jest szczęśliwą?

Jedna z dawnych przyjaciółek zadała jej pytanie czy nie żałuje niczego, czy nie czuje jakiejś próżni w życiu i czy nie pozostały jej z przeszłości jakieś przykre wspomnienia.

— Surowe rady ciotki Sylwii, i... moje własne doświadczenie co do zmienności uczuć ludzkich, odpowiedziała rumieniąc się lekko, przejęły serce moje goryczą; ale pieszczoty moich siostrzeńców wyzwoliły mnie zupełnie od tego przykrego uczucia. Przywiązanie dzieci jest zawsze szczere i stałe, a ja posiadam to przywiązanie. Drogie te istotki kochają mnie prawie tak jak kochają ojca i matkę, i to ich uczucie czyni mnie dumną i szczęśliwą. Posiadając je, nie potrzebuję już niczego żałować i nie mam czasu oddawać się wspomnieniom.

W tych kilku słowach Renata streściła dzieje swego cichego życia; a jak widzimy, są to dzieje jednego z tych serc mężnych i tkliwych jakie niekiedy spotykać nam się zdarza, które przebywszy ciężkie próby i doświadczenia, zachowały jeszcze, dla uszczęśliwienia innych, skarby poświęcenia i miłości.

KONIEC.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

I.

Oczekującemu czas wydaje się zawsze nieznośnie długim! Cała rodzina siedzi z oczyma utkwionemi w wskazówki zegara, i zadaje sobie w myśli pytanie, czy już nigdy nie zechcą dojść do oczekiwanej godziny. Nakoniec wybiła dwunasta. Kobiety, mężczyzni, dzieci zerwali się z wygodnych krzeseł i foteli, a następnie wybiegli z ciepłego salonu do przyległej pustej, zimnej i prawie ciemnej galeryi, która już od dwudziestu lat jest w dni słotne uprzywilejowanem miejscem do zabawy dla dzieci należących do rodziny Marlowe. Tam stało już na podłodze dwanaście świec w lichtarzach, ustawionych w jednym rzędzie, i mniej więcej na półtora łokcia jedna od drugiej, które jeden ze służących zaczął już zapalać.

Pan domu, podrastające jego córki Janina i Emilia, mały jeszcze synek Ryszardek, młodziutka siostrzenica Ida Latimer i wszyscy goście mają przeskoczyć te dwanaście świec, jednę po drugiej, tak aby żadnej nie zgasić lub nie przewrócić. Co rok, w wigilią Bożego Narodzenia młode pokolenie Marlowe'ów będące już w możności skakania, oczekuje niecierpliwie dwunastej godziny w nocy, aby się oddać temu gimnastycznemu ćwiczeniu, uważanemu tam za nieomylną przepowiednię na rok następny.

— Jeżeli pan nie zgasi żadnej, mówiła Joanna przedstawiając stojącemu przy niej młodemu gentlemanowi, o co mianowicie idzie, — Joanna jest już tego wzrostu że potrafiłaby skoczyć jeszcze wyżej i dalej—jeźli pan nie zgasi *żadnej*, będzie to przepowiednią szczęścia na cały rok; kto zgasi *jedną* będzie nieszczęśliwym w odpowiadającym jej miesiącu, to jest że pierwsza z rzędu oznacza styczeń, druga luty, i tak następnie.

— A jakkolwiek przepowiednia nigdy się dotąd nie sprawdziła, odezwała się wesoło Ida, otulając z macierzyńską troskliwością Emilkę, która przed chwilą kichnęła, — pokładamy w niej niezachwianą wiarę.

— A jeżeli zgasicie wszystkie? zapytał młody człowiek, bardzo wysoki, szczupły i wątły, tonem melancholicznym, spoglądając na świece rozmarzonym wzrokiem.

Pytający, pomimo swej niezwykłej szczupłości, i długości swych nóg nie zdawał się bardzo zwinnym. Troskliwa matka, otoczona gronem zdrowych i rumianych dzieci, powiedziałaby niezawodnie patrząc na niego: „Biedny chłopiec! jakiż on chudy! Miałabym ochotę wzmocnić go i odżywić posilnemi pokarmami!" Ale cóżby on odpowiedział gdyby usłyszał jej słowa? Na cóż mogą się przydać opasłe ciało i silne muszkuły młodemu adeptowi trawionemu przez *Welt-Szmerc*, lubującemu się w boleści? Niestety! wolałby już spoczywać w poetycznym grobie, kołysać się na gorzkich falach, słuchając ich szumu przerywanego żałosnym krzykiem srebrnopiórej mewy, jak się przedstawiał często w swych elegiach.

— A jeźli zgasicie wszystkie zapytał?

— Byłaby to tak straszna katastrofa, odpowiedziała śmiejąc się Ida, że nie śmiałybyśmy nawet pomyśléć o niej.

— Nie potrafiłbyś pan zgasić wszystkich razem,

gdybyś się nawet uwziął na to, odpowiedziała żywo Janinka.

Zapalono świece; dwanaście drobnych płomyków unosi się nad posadzką. Czas rozpocząć uroczysty obrządek. Najpierw występuje brat squira Marlowe, bezżenny i poważny pastor anglikański. Ma na sobie długi czarny surdut, zapięty aż pod brodę i sięgający do pięt. Skoczył dwanaście razy, wywiązał się szczęśliwie z zadania, i stanął po drugiej stronie, oczekując na innych.

Zwinny i lekki jak piórko Ryszardek, znalazł się wkrótce przy nim; potem skakała Emilia, po niej Janina; następnie przybyła z sąsiedztwa cała rodzina, to jest: jenerał Tarlton, mistress Tarlton i dwie miss Tarlton. Mistress Tarlton jest to dama otyła i obawiająca się bardzo ognia, dla tego też nie mało miała pracy ze swą suknią, zanim ją uniosła tak wysoko jak nakazywała ostrożność; pomimo to ciężki tren wysunął się w jednem miejscu, ale nikt tego nie widział prócz jej męża, który nie ostrzegł jej wcale, dla tej jedynie przyczyny, że tego dnia nic do niej nie mówił, co zresztą zdarzało się bardzo często. Jednak wprawdzie po ciężkich usiłowaniach przebyła szczęśliwie niebezpieczną próbę. Równie dobrze powiodło się jenerałowi i dwóm jego córkom Annie i Zofii, którym ich nieśmiałe ruchy i lekkie białe suknie nadawały podobieństwo do niewinnych gołąbków, unoszących się w powietrzu. Wiadomo jednak że i gołąbki zamknięte w jednej klatce, nie zawsze żyją z sobą w zgodzie.

— Spojrzyj tylko na Annę, rzekł do Idy starszy z tych gołąbków, czyli Zofia widocznie ma zamiar prosić wielebnego Marlowe'a żeby jej zapiął rękawiczkę; a wiadomo przecie że ci ritualiści nie chcieliby nawet podać ręki kobiecie! Wszyscy oni wykonywują śluby zobowiązujące ich do ubóstwa, bezżenności i... innych jeszcze rzeczy. Stawia go w przykrem położeniu... Wypadałoby ją ostrzedz.

Nareszcie przyszła kolej na pana domu, a po nim na poetę, i gdy ten po tłustym panu Marlowe, z długimi, rozpuszczonemi na wiatr włosami, zaczął przeskakiwać przez światełka, przypominał wszystkim mgłę unoszącą się w powietrzu po zachodzie słońca, lub lekką chmurkę przyćmiewającą tarczę księżyca.

— Brawo! Chaloner! zawołał squire, klepiąc go po ramieniu, gdy już przy nim stanął. Dziś szczęście sprzyja nam wszystkim. Możesz być pewnym, że od pierwszego stycznia do trzydziestego pierwszego grudnia będziesz wolnym od wszelkich zmartwień i nie doznasz nawet bólu głowy.

— O! nie mów pan tego! zawołał Chaloner. Nie przepowiadaj mi tak strasznych rzeczy! Nie ma nic piękniejszego nad palące uściski boleści!

— Doprawdy! zawołał pan Marlowe. Ha! rozmaite gusta bywają na świecie! Życzę ci więc, skoro tak pragniesz tego, abyś przez cały rok w dnie powszednie cierpiał na kolki, a w niedziele na podagrę.

Widać że nie trudno zapewnić sobie powodzenie na rok cały, bo wszyscy już przebyli szczęśliwie próbę; wszyscy prócz Idy... tylko jej los był jeszcze nieroztrzygniętym. Pozostała jeszcze po drugiej stronie, ale czegóż się miała obawiać? Osoba tak zręczna i tak silnie zbudowana mogła przeskoczyć łatwo tak błahą przeszkodę. W ubiegłych latach przebywała ją tak zręcznie i szybko jak jaskółka; dziś wołają na nią wszyscy: „Teraz na ciebie kolej!" a ona ociąga się jeszcze! Nakoniec, zarzuciła tren od sukni na rękę, pochyliła się naprzód jakby miała skoczyć, i zawahała się znowu! Nie mogła przecie obawiać się ognia; jej aksamitna suknia nie zapaliłaby się tak łatwo. Więc czemuż zwleka? Co się stało tej żywej i śmiałej Idzie? Nakoniec skoczyła i... zgasiła pierwszą świecę, potem drugą... i trzecią! Wtenczas rozdrażniona, uniosła trochę więcej sukni, i zdobywając się na siły, przeskoczyła zręcznie i szczęśliwie przez dziewięć następnych. Lecz na cóż się to zdało? wszakże za nią dymią się jeszcze trzy knoty! Całe towarzystwo otacza ją wtenczas, dziwi się i użala nad nią; sześcioletni Ryszardek zaczyna płakać, na pół ze znużenia spowodowanego tak długiem czuwaniem, na pół ze zmartwienia wywołanego niepowodzeniem Idy. Jeden tylko poeta nie okazuje ani współczucia ani zadziwienia; stoi wsparty o ścianę, z głową pochyloną na piersi, i zdaje się nie widzieć nawet co się koło niego dzieje.

— Trzy, jedna po drugiej! rzekła półgłosem Emilia. Trzy jedna po drugiej!

— Na przyszły rok Ido zastosuj się do mojej rady, odezwała się Janina zarozumiale. Wszakże cię przestrzegałam że nie dość uniosłaś suknię.

— Styczeń, luty, marzec! Zmartwienia moje nie będą trwać zbyt długo, odezwała się Ida biorąc na ręce Ryszardka, i dla uspokojenia głaszcząc go po głowie, którą przytulił do jej ramienia. Zresztą wiecie że te świece wasze dają zawsze fałszywe przepowiednie, dlaczegoż więc dziś miałyby mówić prawdę?

Jednak, pomimo że wyrażała się o tem z takiem lekceważeniem, przykro jej było że świece zgasły.

II.

Czy jestem sierotą? mówiła Ida odpowiadając na zadane sobie pytanie, i kładąc pióro na stole. Trzebaby pierwej oznaczyć ściśle, kogo właściwie można nazwać sierotą. Czy naprzykład można nią być jeszcze za życia rodziców, lub być uważaną za sierotę jeszcze w siedmdziesiątym roku życia? Co do mnie, straciłam już dawno matkę.

Było to pewnego dnia rano. Na dworze pada gęsty śnieg i wieje wiatr mroźny, wewnątrz domu cicho i ciepło, a w powietrzu unosi się woń szczęśliwych kwiatkow, które przesadzone w doniczki, uniknęły smutnego losu swych sióstr i braci leżących teraz bez życia na zmarzłej ziemi. Ida siedzi przy swem biórku, a przed nią w miejsce listowego papieru i kopert z monografami, leżą porozkładane rejestra gospodarskie, rachunki z piekarzem, rzeźnikiem oraz z innymi dostawcami. Zaczęła właśnie sprawdzać rachunki rzeźnika, gdy musiała położyć pióro, bo tak łatwo pomylić się w dodawaniu jeźli ktoś przeszkadza, a właśnie jeden z gości wszedł do tego gabinetu w którym stało jej biórko, i którego progu nie wolno było przestąpić nikomu w każden poniedziałek przed południem. Czemuż nie może powiedzieć intruzowi otwarcie: „Idź sobie, bo mi przeszkadzasz!"

Ale zbyt mało zna jeszcze poetę, aby mogła postępować z nim tak otwarcie, położyła więc pióro i starała się ukryć pod uprzejmą minką że byłaby rada pozbyć się go jak najprędzej. Nie domyślał się też bynajmniej tego, jak przynajmniej trzeba było wnosić z jego postawy. Siedząc na krzesełku przed ogniem, wsparł na jego poręczy swą poetyczną głowę, nad którą, według jego mniemania, powinnaby unosić się aureola, i trącając lekko w strony cytry, którą piastował na kolanach, rzekł stłumionym głosem:

— Ja także jestem sierotą. Nasi najpierwsi mistrze byli sierotami. Nie chciałbym aby inaczej było.

— Co do tego, podzielam zdanie pana, odpowiedziała wesoło Ida; tylko że moje położenie jest wyjątkowe, i mogę być pewną że zadowoliłoby każdego. Posiadam zarazem swobodę osoby niezależnej i wszelkie uczucia rodzinne. Czegóż więcej można życzyć sobie.

Zamknęła księgę z rachunkami, wsparła ręce na jej czerwonej okładce i spojrzała trochę niechętnie na nieproszonego gościa, z którego powodu traci czas napróżno.

— Tak, mówiła dalej, jestem prawie dzieckiem wuja Henryka, a pomimo to, on we wszystkiem ulega mej woli. Zdaję mi się że wszyscy mnie tu kochają... Nie mogłabym żyć w takim domu, gdzie nie byłabym od wszystkich kochaną... Ale jednocześnie każdy tu drży przede mną! dodała śmiejąc się wesoło, z wyrazem szczerego zadowolnienia.

Chaloner nie roześmiał się; on się nigdy nie śmieje i nigdy też nie zapatruje się na życie z wesołej jego strony. Pod tym względem przypominał trochę Chateaubriand'a który nie rozumiał i nie lubił żartów.

— Czy pani nigdy nie zatęschniła za życiem wznioślejszem, poetyczniejszem, pełniejszem? zapytał surowym tonem.

— Nigdy, odpowiedziała szczerze Ida. Uważam, że życie moje jest już dość zapełnionem. Nie boję się roboty, jak się wyrażają służący, ale czasem trudno mi doprawdy dać sobie radę z gospodarstwem, dziećmi, szkółką, towarzystwem wstrzemięźliwości.

Zwróciła oczy na książkę rachunkową z takim wyrazem, że łatwo możnaby dorozumieć się z niego że i teraz czekała na nią pilna robota. Melancholiczne i zamglone spojrzenie poety podążyło za jej wzrokiem.

— Zapewnie, odezwał się znów trochę pogardliwym tonem, są chwile w których czuje pani rozbudzające się w jej duszy wznioślejsze pragnienia.

— Bynajmniej! Mam niekiedy powód do niezadowolnienia, naprzykład skoro wuj zaprosi więcej osób niż mamy w domu łóżek i pościeli, lub jeżeli Ryszardek, jak mu się to już zdarzyło, zjé od razu jedenaście niedojrzałych jabłek; ale zresztą, pragnienia moje są bardzo proste i pospolite.

— Może pani nie ma wyobrażenia o piękniejszem, wznioślejszem istnieniu? Może pani przebywała tu zawsze? zapytał Chaloner, rzucając pogardliwe spojrzenie na okno, przez które widać było tylko ziemię pokrytą śniegiem i drzewa ogołocone z liści.

— Tak, mieszkam tu ciągle od śmierci wujenki, odpowiedziała Ida, patrząc także na śnieg leżący za oknem. Miałam wtenczas czternaście lat; włożyłam długą suknię, rzuciłam w kąt książki do nauki, ujęłam wodze rządu, i, dodała z wesołym uśmiechem, mam nadzieję że nie prędko wypuszczę je z ręku.

— Zapewnie, rzekł Chaloner z leciuchnem odcieniem złośliwości—aż do czasu w którym kuzynka pani, miss Janina, już tak wysoka i tęga, nie odbierze ich pani.

— Nikt, zawołała z żywością Ida, nikt w całym domu nie myśli o tem, a tem mniej Janina. Od sześciu lat zastępuje im matkę; przyznają to sami i nie byliby zdolni wydzierać mi rządów. Nie! zbyt przywykłam do panowania abym mogła abdykować! Nie przeżyłabym tego!

— Sądziłem odezwał się znów Chaloner zimnym i przyganiającym tonem, wskazując jednocześnie palcem książki rachunkowe, sądziłem że pani czułaby się szczęśliwą, gdybyś mogła zrzucić z siebie kajdany tych czysto materyalnych zajęć, a zamienić je na więcej umysłowe, szlachetniejsze, nie tak prozaiczne; na istnienie... zapatrzył się na ogień płonący w kominku, i nie dokończył.

Ida wstrząsnęła głową.

— Byłoby mi trudno przyzwyczaić się do podobnej zmiany, odpowiedziała. *(D. c. n.)*

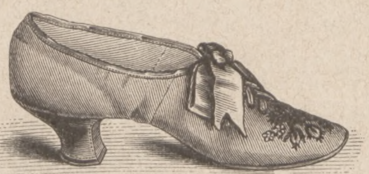
Opis do N-ru 33.

(Dokończenie.)

N. 6 przedstawia krawatkę z prawdziwej koronki duchesse, mającą 147 cent. długości a 13 szerokości; takie krawatki białe lub czarne, węższe lub szersze, stanowią najwłaściwsze dopełnienie strojnej toalety.



N. 3. Suknia wizytowa ozdobiona koronką.



N. 1. Trzewik spacerowy ozdobiony haftem ryc. 2.



N. 2. Haft do trzewika ryc. 1.



N. 4. Vêtement z bluzkowym plastronem.

N. 15. Kapelusz „Niniche".

Lekka, mocno nadmarszczona materya słomkowego koloru stanowi podszewkę, która na karczku i z boków ronda dochodzi do brzegów, a nad czołem pozostawia $3^1/_2$ c. nie podszyte tylko suto podgarnirowane koronką. Do ubrania służy 20 cent. szeroki skos paljowego atłasu, w środku w duży węzeł przewiązany, z boków pod girlandkę ze stokrotek podchodzący.

N. 16. Kapelusz „Duchesse".

Duże rondo słomkowego kapelusza, z przodu ciemnoponsowym aksamitem gładko podszyte, z tyłu jest zupełnie w górę podniesione i przypięte węzłem z szerokiej, ciemno-ponsowej aksamitki i paljowego atłasu. Na rondzie z jednego boku przypięta agrafa stalowa i takaż opaska na główce, z drugiej strony parę piór strusich. Szarfy do wiązania z aksamitki ciemno-ponsowej i atłasowej 3 cent. szerokiej paljowej wstążki.

N. 18. Suknia z vêtement i szarfą z przodu.

Krótkie z boków fałdowane vêtement, oszyte 20 cent. szerokim w maszynie haftowanym szlakiem, z przodu do miary długiej baskiny zapina się



N. 7. Sukienka przybrana koronką dla panienki lat 9—12.

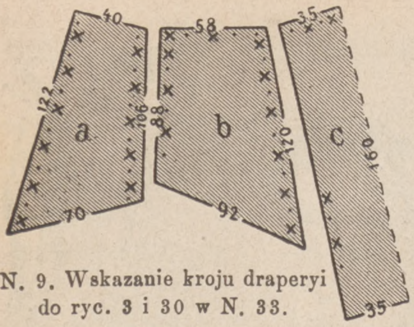


N. 5. Suknia z długiem vêtement z pelerynką.

N. 6. Suknia z krótkiem vêtement z kamizelką.



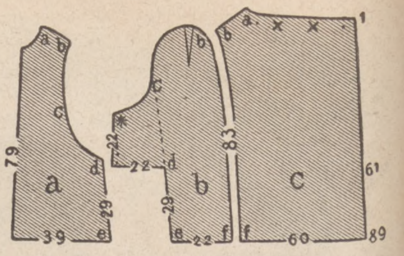
N. 8. Sukienka przybrana haftem dla panienki lat 9—12.



N. 9. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 3 i 30 w N. 33.



N. 11. Serwetka do położenia na obrusie. Wyszycie ściegiem łańcuszkowym i t. p. Patrz ryc. 12—14.



N. 10. Wskazanie kroju płaszczyka ryc. 41—42 w N. 33.

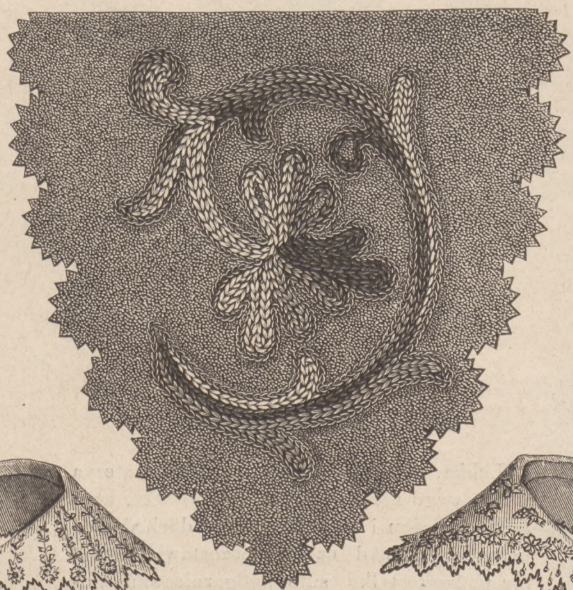
na guziki, a pod drugą zaszewkę ma wszyte wstążki zastępujące pasek, związane na kokardy. Kołnierz i mankiety są z materyału w paski, z którego dane jest także, prosto w podłuż krajane, obłożenie przy falbanach 30 cent. szerokich, w górnej połowie przemarszczanych, w dolnej plisowanych. Do sukni z blado-niebieskiego zefiru, przybranej materyałem w białe deseniowe paski, kokardy były z wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej, w kolorze niebieskawo-stalowym.

N. 19. Suknia z draperyą przemarszczaną.



N. 18. Suknia z bluzkowem vêtement dla młodej panienki. Patrz ryc. 19.

Ładny i świeży fason sukni, której model odrobiony był z klarownego muślinu, nadaje się także do batystu, zefiru lub innych lekkich materyałów. Wązką walencienką oszyte drobno plisowane falbanki, zarówno jak przedzielające je bufy mają 9 cent. szerokości. Draperyę z przodu układa się z bryta 84 c. szerokiego, 116 długiego, z brzegów ku górze skośnie do 90 c. długości ściętego, z boku 8 cent. szeroko przemarszczanego do 34 cent. długości. Bryt tylny w bufy podpięty, ma 125 c. długości a 74 szerokości; stanik w karo wycięty, ozdobiony wstawkami i koroneczką walencienne, z tyłu na guziki zapinany, jest z przodu bawetowo ścięty, z tyłu frakową, fałdowaną baskiną zakończony. Kokardy z atłasowej kolorowej 4 cent. szerokiej wstążki.



N. 15. Lambrekina do koszyczka ryc. 44 w N. 33.



N. 16. Kołnierz z kolorowem wyszyciem dla dziecka. Patrz ryc. 20 w N. 33.



N. 17. Kołnierz z kolorowem wyszyciem. Patrz ryc. 21 w N. 33.

N. 22—29. Szeroka frendzla „macramé".

Frendzle tego rodzaju coraz więcej wchodzą w modę, do ozdoby mebli, firanek, portjer a nawet do sukien i okryć. Różne sposoby zadziergiwania węzłów wymagają wprawy i nauki do jakiej opis nie jest dostateczny, lecz dość zmudna praca opłaca się pięknością i trwałością. Ryc. 22 przedstawia w zmniejszeniu, piękną, szeroką lecz kosztowną frendzlę, robioną z cienkiego jedwabnego sznureczka, w kolorze popielatym i oliwkowym, a przeznaczoną do mebli. Ryc. 23 przedstawia w naturalnej wielkości jeden ząb frendzli z torsadką, tak wstawka środkowa jak torsadki i frendzla mogą być także oddzielnie robione i użyte. Na ryc. 24—29 dajemy próbki różnych sposobów zadziergiwania używanych w tej robocie.

N. 31. Spódnica z tiurniurą.

Chociaż suknie ciągle jeszcze są wązkie i dość obcisłe, jednak do staników frakowych i z długą baskiną używane są małe turniury, nadające większą pełność kształtom. Ryc. 31 przedstawia batystową spódniczkę z dwoma wolantami oszytemi koronką, z szerokim, okrągłym na guziki zapinanym pasem, na którym z tyłu naszyte trzy bufy.



N. 19. Suknia z bluzkowem vêtement. Plecy do ryc. 18.

N. 33. Serwetka na stoliczek. Haft na płótnie podług starych wzorów. Deseń na ryc. 20 w N. 34.

Na ryc. 20 dajemy w naturalnej wielkości $1/4$ część deseniu i wyraźnie wskazujemy rodzaje ściegów użytych do serwetki na stoli-



N. 12. Kwiat ściegiem łańcuszkowym i koronkowym do ryc. 11.

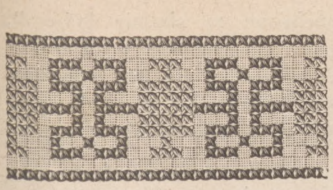


N. 13. Kwiat ściegiem łańcuszkowym i cierniowym do ryc. 11.









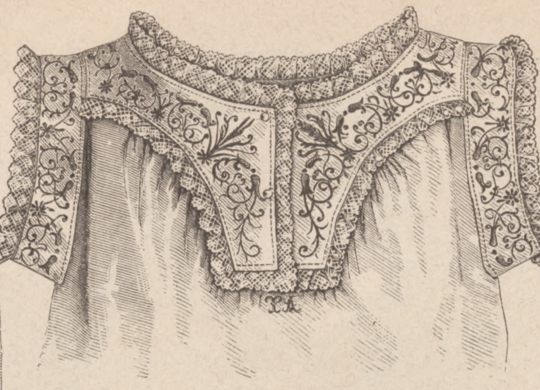
N. 21. Desenik krzyżowy na szlak robotą szydełkową do kołdry ryc. 28—29.

ponsową, a środki wyszywane nićmi (Königszwirn). Do wyszycia ptaszków służył cieniutki jedwab czarny i popielaty. Obrąbek ozdobiony trzema rzędami linijek sznureczkowych, oszywa się frendzelką macramé, albo koronką wązką nicianą, wywodzoną ponsowo.

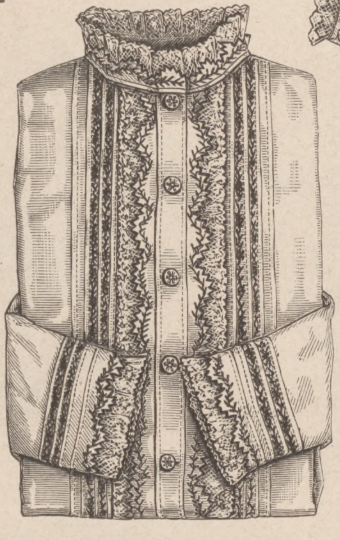
N. 35. Serwetka haftowana na płótnie ściegiem dubeltowym przezroczystym włoskim. Szlak w naturalnej wielkości ryc. 45.

W brzegach poprzecznych szlak powtarza się dwa razy, schodząc się w środku sposobem wskazanym na r. 35. Model robiony był na płótnie równem niemaglowanem niezbyt gęstem, na trzech nitkach w kwadrat, jedwabiem ponsowym tureckim, ściegiem włoskim, którego dokładny opis i próbki podaliśmy w roku przeszłym. Zwykle robiąc takim ściegiem zapełnia się tło, a deseń zostawia biały z żyłkami ponsowemi.

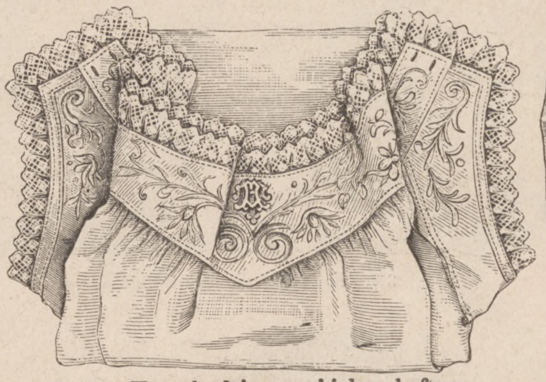
czek albo półeczkę. Na niezbyt cienkiem płótnie, z wyraźnie odznaczającemi się nitkami, kontury arabesek robione były dość grubą bawełną turecką



N. 22. Koszula dzienna z kolorowym haftem.



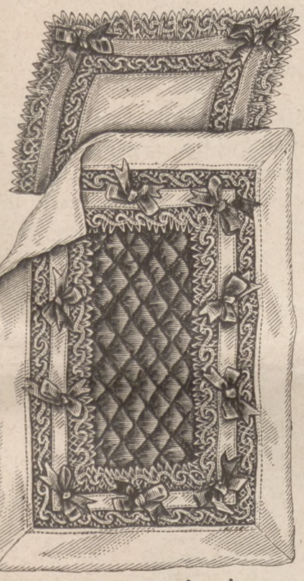
N. 24. Kaftanik nocny z koronką i hafcikiem.



N. 23. Koszula dzienna z białym haftem.

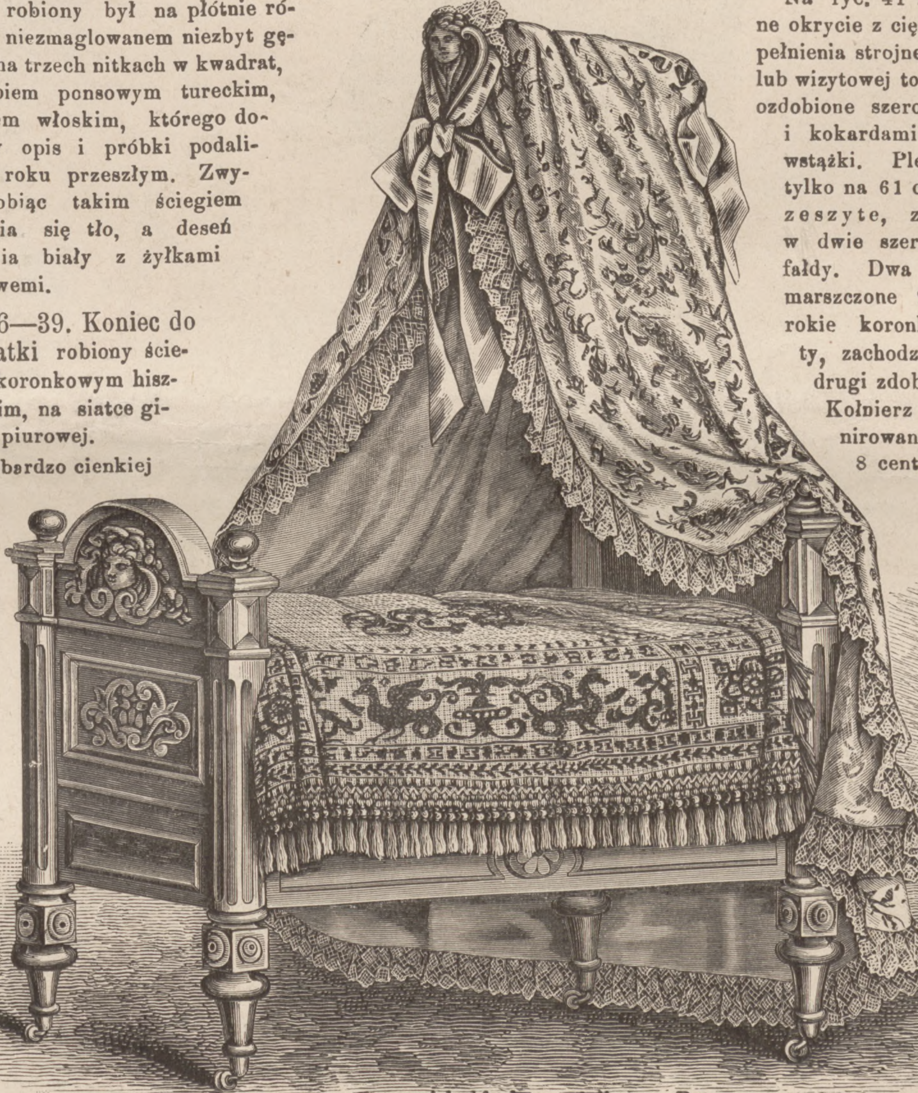
N. 36—39. Koniec do krawatki robiony ściegiem koronkowym hiszpańskim, na siatce gipiurowej.

Na bardzo cienkiej



N. 33—34. Poszewka i prześcieradło związywane kokardami.

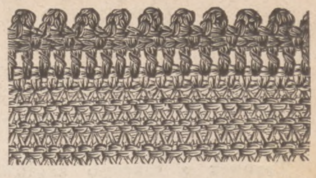
gęstej siatce, robionej fabrycznie bez supełków, jaką ręcznie bardzo trudno byłoby wykonać, deseń cerowany jest nićmi białemi, nitką złotą i bladożółtym jedwabiem, użytym do cerowania (point de reprise). Ścieg smyrneński z podwójnych krzyżyków, robi się bardzo cienką bawełną. Znacznie powiększoną próbkę tego ściegu, któren robi się na skośnie zajętych oczkach siatki, dajemy na ryc. 38. Ryc. 37 przedstawia równie powiększoną próbkę kratki koronkowej; inne ściegi łatwo odrobić podług ryc. 36. Taka



N. 27—28. Łóżeczko z kotarą i kołderka szydełkowa. Patrz ryc. 29—30.

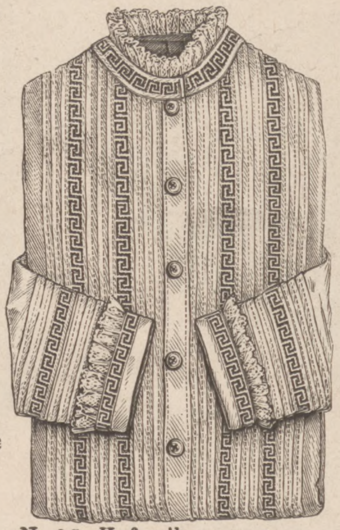
N. 40. Krawatka z atłasowej wstążki.

Wstążka 94 cent. długa 14 szeroka ma po brzegach 3 ½ cent. szero-



N. 26. Robota na drutach do ryc. 43 w N. 33.

kie gładkie ponsowe brzegi, a środek ponsowy i oliwkowy do cieniu; w środku i na 18 cent. od końców jest na 4 cent. szeroko kilka razy przemarszczona. Jeden koniec oszyty jest dwa razy, 5 c. szeroką, jedna na drugą zachodzącą frendzlą sznelową, drugi na 18 cent. długości zagarnirowany po brzegach i w środku, wachlarzowo naszytą 9 cent. szeroką koronką. Do spięcia służy agrafka stalowa.



N. 25. Kaftanik nocny z wyszyciem krzyżykowem.

N. 41—42. Płaszczyk suto garnirowany koronką. Model i miary kroju na ryc. 9 w N. 34.

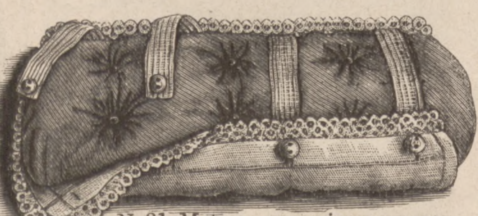
Na ryc. 41 i 42 podajemy z tyłu i z przodu piękne czarne okrycie z ciężkiego satin merveilleux, przeznaczone do dopełnienia strojnej spacerowej lub wizytowej toalety, bogato ozdobione szeroką koronką i kokardami z morowej wstążki. Plecy w środku tylko na 61 cent. długości zeszyte, zakładają się w dwie szerokie kontrafałdy. Dwa lekko nadmarszczone 25 cent. szerokie koronkowe wolanty, zachodzące jeden na drugi zdobią płaszczyk. Kołnierz i rękawy garnirowane koronką, 8 cent. szeroką.



N. 35—36. Poszewka i prześcieradło z szerokim wykładem. Patrz ryc. 37.

N. 43. Koszyk do robót z lambrekiną.

Koszyk pleciony ze złoconej trzcinki, ozdobiony był sześciu zębami lambrekiny, naprzemian z pluszu pawiego, oliwkowego i ponsowego koloru, do których deseń do haftu w naturalnej wielkości, dajemy na ryc. 15 w N. 34. Na tle pawiem haft łańcuszkowy robić złotem, na oliwkowem złotem i filozelą ponsową, a na ponsowem złotem i filozelą oliwkową. Małe kulkowe kwasty z włóczki w kolorach haftu; sznur oliwkowy jedwabny.



N. 31. Materac z przypinanem prześcieradłem. Patrz ryc. 32.

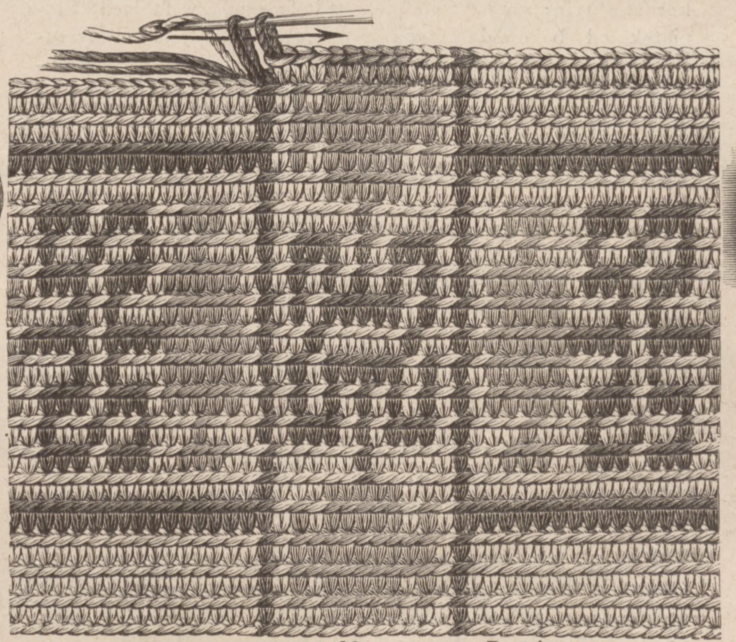


N. 32. Materac z przypinanem prześcieradłem. Patrz wierzch ryc. 31.

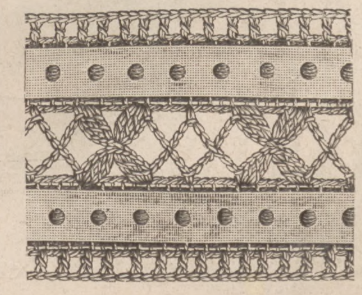
robota na grubszej i rzadszej siatce, stosownie dobranemi nićmi i bawełną, stanowić będzie piękne oszycie do rolet, serwet lub firanek.



N. 30. Tło szydełkowe na śre-



N. 29. Szlaczek wązki do kołdry ryc. 28. Deseń patrz ryc. 21.



N. 37. Wszywka szydełkowa do prześcieradła ryc. 36.

Opis do N-ru 34.

N. 1—2. Trzewik spacerowy ozdobiony haftem.

Trzewik z szarego żaglowego płótna, zasznurowany z przodu, ozdobiony jest kokardą i haftem z zielonej



N. 39. Kapelusz objęty aksamitem.

sznelki; na środku do pączków różanych wzięty cieniutki ponsowy, na niezapominajki niebieski sznureczek.

N. 3. Suknia wizytowa garnirowana koronką.

Przy sukni z ciężkiego jedwabnego repsu, krajanej z trenem lub bez, dane u dołu dwie plisowane falbany po 10 cent. szerokie.



N. 38. Kaftaniczek dla dziecka.



N. 41. Kapelusz koronkowy hiszpański „Bolero".

Przód i boki aż do paska zagarnirowane są szeroką hiszpańską koronką, tylny zaś bryt podpięty w bufę spada w fałdach. Staniczek od boków do przodu przewiązany rodzajem szarfy zastępującej pasek, z tyłu zaś ma zręcznie upiętą baskinę. Efektowne przystrojenie stanowi żabot ułożony z kwiatów; przy półdługich rękawach kokardy przepięte również kwiatami.

N. 4. Vêtement z bluzkowym plastronem.

Układ taki stosowny dla osób szczupłych, nadaje się tylko do miękkich materyałów. Krótkie vêtement ma dodany plastron, ułożony na gładko dopasowanej podszewce, przemarszczony pod szyją, w pasie i u dołu; zapięcie dane niewidocznie z boku; króciutki pasek zapięty klamrą. Zamiast koronki do przybrania można użyć szlaków haftowanych. Model był z białego kaszmiru z blado-niebieskiemi atłasowemi wypustkami i paskiem.

N. 5—6. Ubrania spacerowe.

N. 5. Suknia z długiem vêtement i pelerynką.

Uszyta z beżu, stosowna jest zarówno do podróży, jak i spacerowego ubrania, ma spódnicę zakończoną falbaną i przemarszczeniem, przysłoniętą długiem vêtement, tylko z boku podpinanem kokardami. Przody i boki krajane na długość zwykłego stanika z baskiną, dopełnione są skośnie dodanym, nieprzecinanym brytem, plecy zaś krają się w całej długości. Pelerynka szyje się oddzielnie na jedwabnej podszewce i przemarszcza kilkakrotnie w około szyi. Wypustki i kokardy mogą być ciemniejsze lub odmiennego koloru.

N. 6. Suknia z krótkiem vêtement i kamizelką.



N. 40. Kapelusz ozdobiony różami

Krótkie vêtement szeroko otwarte z przodu, odsłania przód sukni zagarnirowany falbanami i przemarszczaniem drobniutkiem; z tyłu na spódnicy upięty jest prosty bryt. Brzegi vêtement zakończone są rodzajem ranwersu, idącego wązko od kołnierza, a rozszerzającego się do dołu i dochodzącego do pleców wolno puszczonych. *(D. n.)*



N. 42. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 43. Suknia ze stanikiem à panier.



Pl. 473.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.